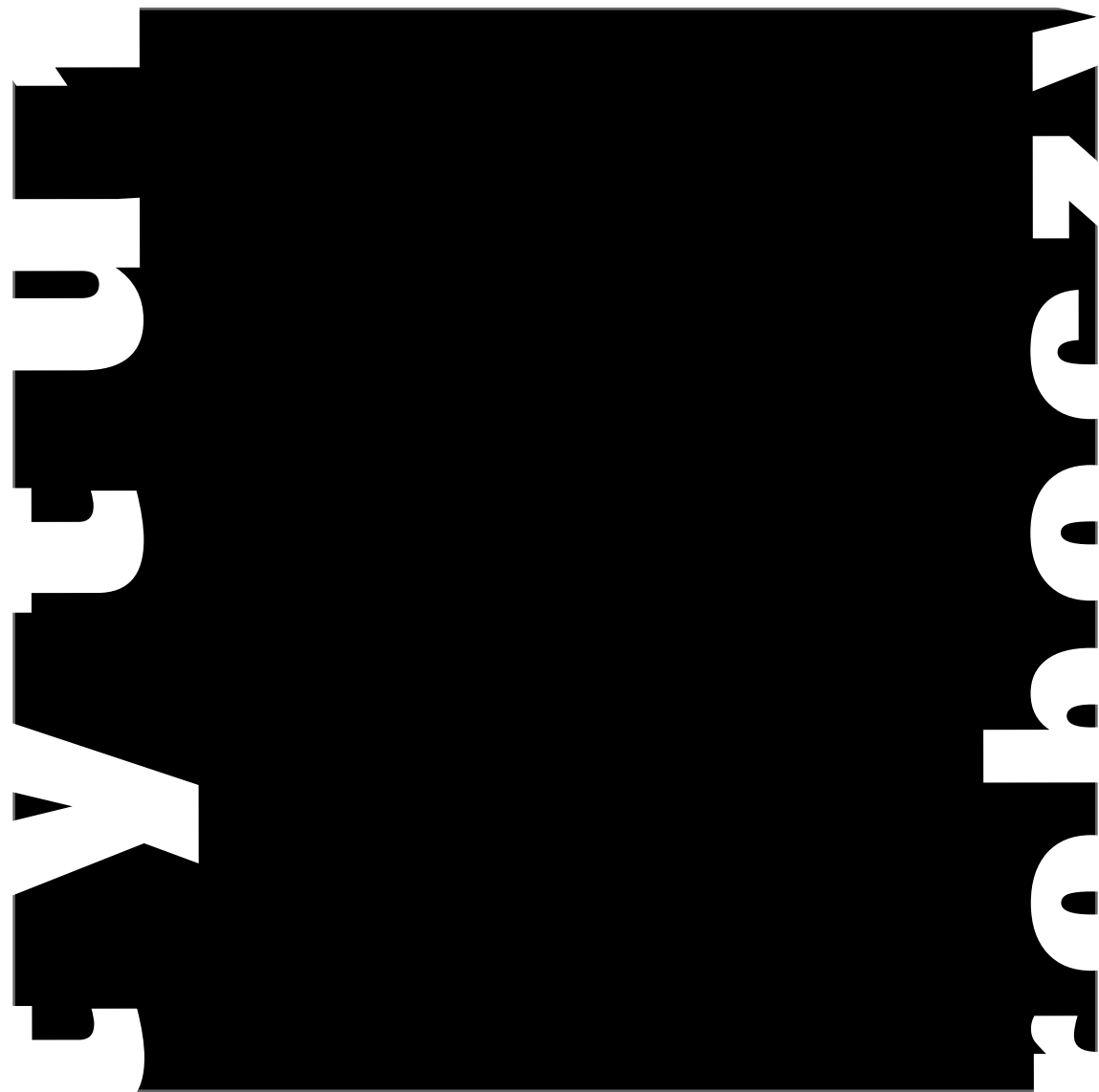






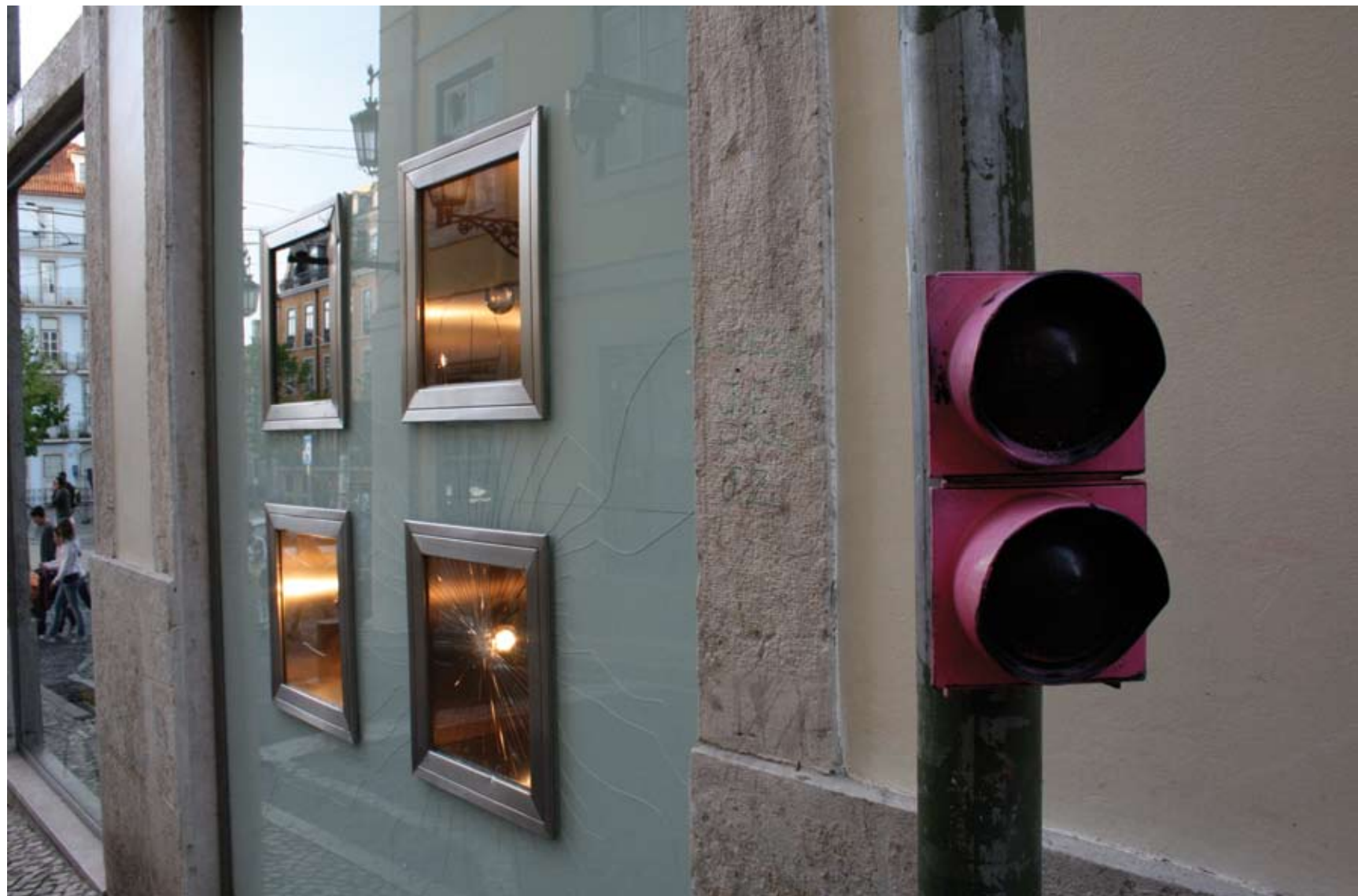




okładka  
**Klara Kopcińska**

tył okładki  
**Paweł Justyna**

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Zastrzegamy sobie prawo do robienia skrótów i redagowania nadesłanych tekstów. Nadesłanie materiałów do publikacji jest równoznaczne z oświadczeniem o posiadaniu praw do nich.





# Niż

Nie planowaliśmy tego, tymczasem okazuje się, że niniejszy numer TR poświęcony jest zmianie, redefiniowaniu pojęć, poczynawszy od spraw etycznych i kulturowych, skończywszy na nowym postrzeganiu pewnych tradycyjnych form z pogranicza sztuki, jak haft czy fotografia podróżnicza.

Cieszy nas ten fakt, ponieważ lubimy zmiany i ciągle jeszcze wierzymy z dziecięcą żarliwością w postęp.

Mamy nadzieję, że i nasi czytelnicy znajdą tu inspirację – nie ważne, czy na miarę wielkich wizjonerów, czy drobnych, ale praktycznych reformatörów.



podziękowania:

Book Art Museum/  
Muzeum Książki Artystycznej  
Paweł Tryzno

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**



tytuł roboczy  
working title

2012 042  
ISSN 1733 4691  
nakład 30 egz./copies

redakcja i projekt/editors & designers  
Klara Kopcińska & Józef Żuk Piwkowski



wydawca/publisher  
Stowarzyszenie  
Edukacji i Postępu  
STEP/STEP Association  
for Education and  
Progress  
Radziłowska 5, m. 1

03-943 Warszawa  
tel. (022) 617 68 06 i 601 39 02 05  
e-mail 2b@2b.art.pl



Galeria 2b/2b Gallery  
www.2b.art.pl  
2bartpl.blogspot.com  
facebook.com/2bartpl

współpraca  
redakcyjna/assistant editor  
**Izabela Kujawska**

druk i oprawa/print & binding  
Roband

© Klara Kopcińska, Józef Żuk Piwkowski  
& autorzy/authors

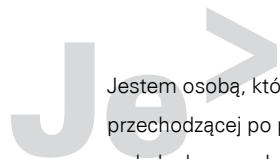
**ВЫХОД В ГОРОД**

|                                           |    |
|-------------------------------------------|----|
| Klara Kopcińska <b>imagine</b>            | 9  |
| Patrycja Dołowy <b>sztuka jak biskopt</b> | 35 |
| Patrycja Dołowy <b>oczami kobiet</b>      | 47 |
| <b>rozmowa TR</b> z Martą Kotlarską       | 57 |
| <b>rozmowa TR</b> z Urszulą Kahul         | 65 |
| Adam Piechowski                           | 77 |
| Lidia Gruse                               | 79 |
| Roman Kossak                              | 81 |
| Karina Krystosiak                         | 83 |
| Jakub Piasecki                            | 85 |
| Joanna Kończak                            | 87 |
| Joanna Saltik                             | 89 |
| Urszula Wojciechowska                     | 91 |
| Marcin Klisz                              | 93 |
| Sergiusz Odorowski                        | 95 |
| Marta Sobolewska                          | 97 |
| Paweł Justyna                             | 99 |









Jestem osobą, której do życia nie są potrzebne jakieś szczególne strzały adrenaliny. Rzucik na garsonce staruszki przechodzącej po pasach przed domem towarowym Kujawiak we Włocławku podnieca mnie dużo bardziej niż myśl o skoku bez spadochronu z wysokości 730 metrów. Zwłaszcza, że im dłużej przyglądam się szlaczkom, pomazanym murom, wydeptanym ścieżkom, dzieciom i kotom wygrzewającym się przed domami, szyldom i witrynom, tym bardziej widzę, jak w tych banalnych widokach ogniskują się uniwersalne problemy świata (a przynajmniej naszej jego części).

Co mają wspólnego prawa zwierząt, copyrighty, przestrzeń publiczna i sztuka? Z początku nic szczególnego nie przychodzi do głowy. Dla mnie także powiązania między nimi nie byłyby tak oczywiste, gdybym nie przejrzała potężnego zbioru zdjęć, które zrobiłam w ciągu ostatnich lat podczas licznych podróży po Polsce, konfrontując je z kolei z kilkudziesięcioma tekstami z grubsza dającymi się określić jako futurologiczne. Nasz stosunek do innych gatunków, dostępność dorobku intelektualnego, kształtowanie przestrzeni do życia i tzw. twórczość artystyczna to parę symptomatycznych obszarów wymagających dziś pilnej redefinicji. Sfer tych jest rzecz jasna znacznie więcej (jak choćby gospodarka oparta na pieniądzu, nieefektywne systemy edukacyjne), ponieważ jednak tekst ten ma być pewnego rodzaju fotostory, a nie manifestem politycznym, skupię się na tym, co dotyczy bezpośrednio mojej pracy, z niewielkimi tylko wypadami na bardziej ogólne terytoria.

„Panowie, wracamy – to pułapka” – mówi w popularnym memie homo sapiens do swoich ewolucyjnych poprzedników. Przekonanie, że próby zarządzania „statkiem kosmicznym Ziemia” (nie posiadającym instrukcji obsługi) poszły w złym kierunku, wyrażało wielu myślicieli, wizjonerów, pisarzy sci-fi i artystów. Idealista Tesla, pragnący wolnego dostępu do energii dla wszystkich, materialista Marks, negujący prawo własności, Jacques Fresco, wynalazca samouk, projektujący lepszą przyszłość w oparciu o sprawiedliwy podział zasobów, Richard Buckminster Fuller, futurysta i można rzec prekursor recyklingu, aktywistka alterglobalizmu Naomi Klein i wielu, wielu innych – wskazywało i wskazuje na konieczność przededefiniowania naszego rozumienia swojej roli na ziemi, zmiany systemu politycznego, gospodarczego i kulturowego. Stawiało i nadal stawia pytania, czy można ów projekt „życie” poprowadzić lepiej, czy można „zaprojektować” i „zrealizować” lepszy świat. Oceniając mierny (a niekiedy, jak w przypadku Marksa – wręcz odwrotny) efekt, jaki ich wysiłki wywarły na większości, można dojść do paradoksalnego wniosku, że główną przeszkodą na drodze rozwoju ludzkości jest... człowiek. „Prawda, która przeżyła swój czas, staje się przesądem. Przesady! Jeśli je nazwiesz tradycją – zasmucisz mnie” – pisał w ubiegłym wieku Stefan Themerson. Przypuszczam, że gdyby żył, byłby dziś bardzo zasmucony.

Mimo iż jestem niewierząca, bliskie jest mi pojęcie siedmiu grzechów głównych. Przypomnę je tu, bo choć większość Polaków deklaruje się jako katolicy, niewielu potrafi wymienić owe *peccata capitalia* z pamięci: >>

Klara Kopcińska  
**imagine**

zdjęcia Klara Kopcińska

Ziemia pełna jest rozmaitych dóbr. Praktyka racjonowania ich za pośrednictwem systemu monetarnego jest już przestarzała i sprzeczna z naszym interesem, jakim jest przetrwanie.

Jacque Fresco

Scenariusz, w którym ludzie ścigają cyborgi, nie trzyma się kupy, ponieważ w przyszłości nie da się oddzielić jednych od drugich. Dziś leczymy chorobę Parkinsona za pomocą implantów mózgowych wielkości fasolki. Zwiększcie możliwości tego urządzenia jakiś miliard razy i zmniejszcie jego rozmiar o jakieś sto tysięcy, a będziecie mieli jako takie pojęcie, co będzie się działo za 25 lat. To nie będzie coś w rodzaju: „Dobra, cyborgi na lewo, ludzie na prawo”. Jedni i drudzy będą całkiem nierozdzielni.

Craig Venter

pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, gniew, lenistwo. Jak widać, wszystkie mają się całkiem nieźle, ale to pycha, chciwość i lenistwo najbardziej chyba uniemożliwiają realizację postulatów Themersona.

Nie odkryję prochu zauważając, że ludzie żyją w wielu równoległych i w związku z tym nieprzecinających się światach. Nie mówię tu już o skali globalnej, nie będę porównywać Kanady z Ugandą ani Szwajcarii z Bangladeszem – wystarczy spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość, miotającą się zarówno w sferze estetyki jak i mentalności gdzieś między głębokim wciąż PRL-em a reprezentowanym przez neoliberalizm umiłowaniem do szkła z chromem i wielkoformatowej reklamy, nie wspominając o rzeczywistości medialnej skupionej na przysłowiowej już mamie Madzi i bezsensownych sondażach wyborczych, a także o rzeczywistości społecznościowo-wirtualnej, z której każdy czerpie to, co chce i umie, poczynawszy od różnych bredni, cytatów z Paolo Coelho i obrazków z kotkami w bukietach róż, przez naukowy bełkot, dostęp do rzetelnej informacji, po możliwość tworzenia alternatywnych społeczności skupionych wokół ruchów społecznych, kooperatyw spożywczych i kółek zainteresowań. Grupy ludzkie, zanurzone w różnych nurtach tych trzech rzeczywistości odpływają od siebie coraz dalej, a na rozwarstwienie to w sposób oczywisty wpływają różnice w poziomie edukacji, zamożności, dostępie do informacji itp. Przejaskrawiając, mam wrażenie, że z *homo sapiens* wyewoluuje w końcu kilka odrębnych gatunków.

### **mięso w przestrzeni publicznej**

Myślenie o nowych gatunkach przestaje być tak bardzo abstrakcyjne, jeśli przyjrzeć się wizjom futurologów, takich jak choćby Ray Kurzweil. Co prawda jego *singularity* (tłumaczona jako „osobliwość”), zakładająca zespolenie człowieka i maszyny, a zwłaszcza przewidywana przez niego nieśmiertelność, wydają się mrzonką (przynajmniej w skali czasowej, jaką podaje – rzecz ma się bowiem zadziać już w pierwszej połowie XXI wieku), ale z całą pewnością możliwości współczesnej genetyki i transplantologii, nanowirusy i inne wynalazki, mogące drastycznie przedłużyć życie ludzkie w realnej perspektywie czasowej, wprowadzają nowe wątki do naszego dyskursu o człowieku, a zwłaszcza nowe dylematy moralne. Na ile ludzkość sobie z nimi poradzi? Można mieć co do tego pewne obawy, skoro nadal nie wszyscy uporali się z takimi zagadnieniami, jak antykoncepcja, *in vitro*, czy w skrajnych przypadkach – szczepienia przeciw polio.

Zadziwiający jest też fakt, że przez tyle wieków człowiek próbuje wytłumaczyć funkcjonowanie świata poprzez filozofię czy religię, a tak mało przygląda się temu, co da się dowiedzieć i zbadać, czyli przyrodzie, której jest częścią. Postęp nauk przyrodniczych w ostatnich latach wykazał podobieństwa między *homo sapiens* > >



a innymi zwierzętami, znacznie większe niż „pan wszelkiego stworzenia” chciałby przyjąć do wiadomości. Jak zauważa Jessica Ullrich, kuratorka berlińskich wystaw *Tier-Werden*, *Mensch-Werden* oraz *Tierperspektiven* w rozmowie z Dorotą Łagodzka („Artmix” nr 28 (18) „Posthumanizm”): „także w innych dziedzinach kwestionuje się jasne, hierarchiczne rozróżnienie na ludzi i zwierzęta, m. in. dzięki odkryciom dokonany w etologii, badaniach mózgu czy biotechnologii. Ludzie w coraz większym stopniu zaznajamiają się z problematyką zniewolenia zwierząt, przejawiającą się w takich praktykach jak np. przemysłowa hodowla, i zastanawiają się, jak to możliwe, żeby takie traktowanie zwierząt było w jakikolwiek sposób uprawnione”.



Pojawiło się pojęcie „posthumanizmu”, być może nienajszczęśliwiej przetłumaczone, (w języku polskim „humanizm” ze swoim oświeconym racjonalizmem ma raczej pozytywne konotacje), wolałabym „post-antropocentryzm”, ale trudno, nie pierwsze to i nie ostatnie niezadowolające tłumaczenie, z którym trzeba żyć. Posthumanizm dąży do przededefiniowania miejsca człowieka w świecie. Biblijna sugestia: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pelzającymi po ziemi” interpretowana jest bardziej w kontekście wiążącej się z władzą odpowiedzialności niż nakazu podporządkowania sobie zwierząt.



Najbardziej bodaj znanym uczonym, który zajął się kwestią praw zwierząt jest australijski etyk Peter Singer. Nie będę tu streszczać jego w spokojnym, pozbawionym fanatyzmu tonie utrzymanej książki „Wyzwolenie zwierząt”, przytoczę tylko cytaty: „Książka ta nie usiłuje grać na uczuciu sympatii do „uroczych” zwierząt. Zabijanie koni czy psów na mięso nie oburza mnie bardziej niż zabijanie świń. Wcale mnie nie uspokaja, gdy wobec protestów, jakie wzbudza użycie psów beagli do testowania śmiertelnych gazów bojowych, Departament Obrony Stanów Zjednoczonych obiecuje przejść na doświadczania na szczurach. [...] W żaden sposób nie da się uzasadnić moralnie lekceważenia cierpień jakiegokolwiek żywego stworzenia. Niezależnie od tego, jaka jest jego natura, zasada równości wymaga, by jego cierpienie liczyło się tak samo – jeśli takie grube porównania są w ogóle możliwe – jak podobne cierpienie każdej innej istoty żywej”.



Jak zauważa Iza Kowalczyk w recenzji książki Moniki Bakke „Bio-transfiguracje. Sztuka i estetyka posthumanizmu”, (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań): „Ciekawe jest to, że problemy te podnoszą niektórzy teoretycy, którzy dotychczas zajmowali się głównie problematyką Zagłady. Zmieniają oni swój obszar zainteresowań, pytając o relacje między tym, co ludzkie a tym, co zwierzęce”.

Odkąd przestałam jeść mięso, odkryłam, że wegetarianizm budzi często większą agresję niż ateizm, feminizm i anarchizm razem wzięte. Być może wyparcie jest tak silne, że jakiegokolwiek przypomnienie, > >









skąd się bierze kotlet na naszym talerzu, budzi przesadną reakcję obronną. Jak zauważa Gabriela Jarzębowska na swoim blogu (notesdyletantki.blox.pl) „Sprawa jest delikatna, bo dotyczy *de facto* przekonań moralnych, a takie siłą rzeczy rodzą silne emocje. Jednak wychowani w duchu demokracji i pluralizmu mamy wpojony szacunek dla odmiennych poglądów, nawet wtedy, gdy uważamy je za skrajnie nieetyczne i niekompatybilne z naszym systemem wartości. Ta wewnętrzna sprzeczność myślenia nowoczesnego, wyznaczająca pytania o granice tolerancji, to temat, nad którym spędzał bezsenne noce niejeden mędrzec. Spór o to, czy zjadanie zwierząt (tudzież te formy ich wykorzystywania, które powodują cierpienie) jest etycznie naganne czy nie, skupia ten problem jak w soczewce”.



fot. Józef Żuk Piwkowski

Wegetarianie przyznają, że męczy ich powtarzalność zestawu pytań, jakie się im stawia (począwszy od „to co ty jesz?!” przez „a jakie nosisz buty?”, „skąd bierzesz białko?” po „a może sałata też cierpi?”), najbardziej rozbrajające jednak wydają się nam argumenty, że ludzie jedzą mięso od zawsze. W takim razie, być może powinniśmy zalegalizować pedofilię, dopuścić zrzucanie niepełnosprawnych ze skał, odebrać kobietom prawa wyborcze i znieść kary za rąbnięcie sąsiada maczugą. Te bowiem formy życia społecznego mają także długą tradycję. Nie miejsce tu jednak, żeby polemizować z przeciwnikami opcji wege, której założenia przedstawia Peter Singer, racjonalnie odpowiadając na przeróżne zarzuty. Zainteresowanych odsyłam do lektury „Wyzwolenia zwierząt”. Choć są bardziej radykalne odłamy wśród obrońców „braci mniejszych”, jego stanowisko wydaje mi się w tej chwili optymalne i możliwe do propagowania. Oczywiście ideałem byłby świat, w którym nikt, niezależnie od gatunku, rasy, płci i poglądów, nie musi cierpieć, uważam jednak każdy krok w tym kierunku za pozytywny. Każda rezygnacja z mięsnego posiłku czy kupienia futra jest dobra, nie wymagam, żeby ktokolwiek z dnia na dzień został wojującym weganinem. Warto jednak mieć świadomość, jak wygląda „przemysłowa produkcja mięsa” i pokrewne „przemysły” i zastanowić się, czy rzeczywiście jesteśmy w stanie to przełknąć (dosłownie i metaforycznie).

Tak się złożyło, że zanim jeszcze zostałam wegetarianką, zaczęły mnie fascynować szyldy sklepów rzeźnickich. Te starsze, bardziej oldskulowe, przedstawiały zwykle naiwnie narysowane zwierzątka, zazwyczaj różowe świnki, a niekiedy łaciate krówki. Zadziwił mnie rozdźwięk między tym słodkim wyobrażeniem nad wejściem do sklepu, a serwowanym w środku konkretem w postaci szpandra i dutek. Moda na malowanie świnek Piggy minęła ostatnio, ustępując miejsca wędlinom i schabom większym od człowieka, którymi zadrukowuje się okna sklepowe. Ta potrzeba prezentowania (i oglądania) dwu i pół metrowej kiełbasy również nie przestaje mnie zaskakiwać. Mój osobliwy zbiór reklam mięsa rozrasta się z każdą podróżą, ostatnio zaś doskonale skonstrastował się z innymi zdjęciami, tak zwanymi „slit fociami”, które każe sobie robić moja córka zakochana we wszystkich żywych stworzeniach. Mamy więc z jednej strony dziewczynkę z króliczkiem, dziewczynkę z kurczakiem, a z drugiej, na często sąsiadujących kadrach, „flaki w batonach” i „przysmak gajowego”. > >









Jak to się skończy, czas pokaże. Ruchy „pro-zwierzęce” zyskują na sile, oczywiście w tzw. „świecie zachodnim”, ale biorąc pod uwagę fakt, że przyszłością świata są Chiny, sprawy mogą pójść w zupełnie przeciwnym kierunku. Choć przecież inteligentni Chińczycy też być może zmieniają z czasem swoje priorytety. Peter Singer pisze: „Żaden z wielkich ruchów przeciwko uciskowi i niesprawiedliwości nie powstałby, gdyby jego przywódcy zwlekali z podjęciem działań, póki nie będą pewni sukcesu”, a nawet mizantropiczny Lem stwierdza: „Gdyby ludzie od jaskiniowej epoki robili tylko to, co wyglądało na możliwe, do dzisiaj siedzieliby w jaskiniach”.

### **to nie sztuka zabić kruka**

„Sztuka nie jest tu żadnym wyjątkiem. Także w sztuce zwierzęta były zawsze postrzegane jako środek do celu. Używane były jako motyw, metafora, materiał lub medium, ale rzadko traktowane jako reprezentujące same siebie. Służyły i służą do dziś jako nośniki znaczeń i reprezentacji czysto ludzkich pragnień, lęków, popędów, jako obiekt projekcji wszelakich ludzkich treści. Pojedyncze zwierzęta były postrzegane jako przedstawiciele gatunków lub zgoła symbole natury. Indywidualność zwierząt i ich prawa były niezauważane lub negowane. Niekiedy zwierzę musiało po prostu umrzeć, żeby człowiek mógł je narysować, by mógł przerobić je na rzeźbę albo części jego ciała użyć w celu produkcji środka malarskiego lub też po prostu było potrzebne, by zilustrować określone idee – i dzieje się tak po dziś dzień” – podkreśla Jessica Ullrich (ibidem).

Sztuka, tak jak się ją powszechnie rozumie, także jest pojęciem wymagającym przededefiniowania. Próby takie podejmowane w czasopiśmie, które w podtytule ma „otwarty magazyn sztuki” mają wydawać się nieco naiwne, zwłaszcza, że nawet w Wikipedii można przeczytać, że jest ona pojęciem otwartym (w znaczeniu wittgensteinowskim) i jej definicja ulega ciągłym przemianom i rozszerzeniom. Trudno się z tym nie zgodzić, a jednak poza środowiskiem tak zwanym „historyczno-sztucznym” rzadko zdarza mi się spotkać z takim pojmowaniem sztuki; wciąż sprowadza się ją do produkcji pewnych artefaktów, rozpatrywanych głównie w kategoriach estetycznych.

Wedle nieco archaicznej, ale zręcznej definicji przedstawionej przez Tatarkiewicza w „Dziejach sześciu pojęć” – „sztuka jest odtwarzaniem rzeczy, bądź konstruowaniem form, bądź wyrażaniem przeżyć – jeśli wytwór tego odtwarzania, konstruowania, wyrażania jest zdolny zachwycać, bądź wzruszać, bądź wstrząsać”. Zdaniem Kurta Vonneguta rola artystów podobna jest do tej, którą pełnią kanarki w kopalniach – dzięki wzmożonej wrażliwości są w stanie przewidzieć zagrożenia. >>

W miarę upływu czasu ten absurd logiczny troski nie tylko o siebie każe zwierzęciu rozszerzyć zakres przyzwoitości z własnego miotu na stado, plemię, rasę, klasę, naród, a może cały gatunek? Taki właśnie ciąg wydarzeń chciałbym nazwać „postępem”. [...]

Kiedy moja logika ogląda się za siebie, widzi, że brak niegodziwych środków jest ważniejszy niż obecność wielkich celów.

A kiedy znów się obraca i spogląda przed siebie w przyszłość, widzi, jak bardzo jest nam potrzebny pokarm zwyczajnej przyzwoitości, który nie będzie owocem agresywnych koszmarów przeszłości ani świetlanых projektów jutra, lecz zwyczajnych przyzwoitości naszego teraz.

*Stefan Themerson  
(tłum. Anna Kołyszko)*



Do mnie jednak najbardziej przemawia rozumienie sztuki w duchu Beuysa, który przede wszystkim zwracał uwagę na wspólną wszystkim ludziom potrzebę tworzenia, a sztukę określał jako rodzaj terapeutycznego twórczego działania, gdzie bardziej liczy się proces niż produkt. Sama doświadczyłam takiego oddziaływania sztuki realizując wiele projektów opartych na współpracy, partycypacji i dialogu z tzw. odbiorcami, którzy tu pełnią raczej rolę współtwórców. Bardzo interesująca wydała mi się refleksja na ten temat Magdy Ujmy na jej blogu „krytyk sztuki na skraju załamania nerwowego”: „Dzisiaj w Polsce jest nam trudno zrozumieć wartość projektów grupowych, stąd także ocenić prawdziwie rewolucyjną wartość partycypacji czy nowej edukacji. Po 1989 i po zbiorowym zrywem Solidarności przeżyliśmy ostry liberalny zwrot, a społeczny szacunek wobec prywatnej własności zaczął przeradzać się w absolutyzowanie jej praw. Zapomnieliśmy o dobru wspólnym, zdeprecjonowaliśmy jego wartość – i obecnie płacimy za to cenę”.

Przyznać muszę, że (do czego być może też nie powinnam się przyznawać na łamach czasopisma o sztuce) coraz mniej pociąga mnie wszelka sztuka galeryjno-muzealna, artyści uznawani przez tzw. „art world”, wernisaże, bierny odbiór, cały ten pozór elitarności i wyjątkowości. I mimo iż z pewnym zadowoleniem odnotowałam, że w ostatnich latach odbyło się szereg dużych międzynarodowych wystaw poruszających interesujące mnie tematy, poczynając od „Statku kosmicznego ziemia” (wychodzącego od myśli Fullera) w CSW „Znaki czasu” w Toruniu, po całą serię wystaw poświęconych relacji człowiek-zwierzę, wspomniane już *Tier-Werden*, *Mensch-Werden* oraz *Tierperspektiven* w Berlinie, *Bêtes et Hommes* w La Villette w Paryżu (byłej największej rzeźni Europy), *Wszystkie stworzenia duże i małe* w warszawskiej Zachęcie, czy *Interspecies* w Manchesterze, to (choć oczywiście fantastyczne jest, że sztuka odnosi się do etycznych dylematów współczesnego świata), już znacznie mniej ucieszył mnie fakt, że niewiele prac można obejrzeć w internecie, a informacje są dość ogólne i enigmatyczne.

I tutaj dochodzimy do problemu wspomnianych wyżej praw autorskich, o którym pisaliśmy już na łamach „tytułu roboczego” nie raz (Żuk Piwkowski nazywa je wręcz największą zbrodnią przeciw ludzkości). W prawie autorskim istnieje pojęcie tak zwanej „wolności panoramy”, jest to regulacja „pozwalająca publikować zdjęcia dzieł sztuki oraz wszelkich obiektów architektonicznych, których właściciele wystawili je na stałe na widok publiczny, bez konieczności zgody właścicieli tych dzieł” (za Wikipedią). W wielu państwach jednak wolność panoramy nie obowiązuje. Ponieważ uważam za absolutny skandal, że nie mogę czytelnikom pokazać prac, o których chciałabym napisać, bez czynienia specjalnych zabiegów, jak rejestrowanie się na stronach różnych instytucji, pisanie listów itp., tekst ten – jak widać – pozbawiony jest stosownych ilustracji. W tym kontekście chciałabym przywołać fragment znakomitego artykułu Jarosława Lipszyca, działacza ruchu wolnej kultury i prezesa Fundacji Nowoczesna Polska, opublikowanego na łamach „Kultury liberalnej”. Pisze on: „Teksty narracyjne o ACTA, o nas, o kulturze, > >



„ze względu na ograniczenia praw autorskich obraz ten nie jest dostępny w twoim kraju”



były dowodem na jeszcze większy bałagan pojęciowy. Sprzeciw wyrażany językiem narzuconym nam przez przemysł jest dowodem na bezbronność, kompletne poddanie się przemocy symbolicznej. Chociażby użycie negatywnie wartościujących słów, jak „złodziejstwo”, „piractwo”, „kradzież”. Wzięliśmy te słowa i użyliśmy w naszej obronie. Z „piractwem” prawie się udało. Czy można dobrze odpowiedzieć na pytanie „dlaczego popieracie złodziejstwo w internecie?” Przecież jest tylko jedna możliwa odpowiedź. Sztandarowym przykładem tego bałaganu był legendarny tekst na „Pudelku” z konkluzją: tak, jesteśmy złodziejami i nie wstydzimy się kraść. A przecież to fundamentalna pomyłka. Nie jesteśmy złodziejami. Jesteśmy uczestnikami kultury i nie wstydzimy się uczestnictwa w niej. [...] Pojęcie „własność intelektualna” to największe kłamstwo XX wieku, absolutny majstersztyk manipulacji. Dlaczego? Dlatego, że jeżeli prawa wyłączne, czyli monopole, zaczniemy traktować jako własność, to automatycznie zmienimy ich status. W XX wieku systemy polityczne zbudowane na świętej własności prywatnej moralnie wygrały. Podciągnięcie praw wyłącznych pod tę kategorię umożliwiło zwiększanie zakresu tych praw, wydłużanie okresu ochrony i zwiększanie kar za ich naruszenie.”

Tak więc nie naruszając praw, pozostanę przy własnych zdjęciach, opiszę jednak kilka projektów ze zwierzętami w roli głównej, które wydały mi się warte odnotowania z bardzo różnych względów. O niektórych z nich opowiedziała mi podczas bardzo interesującej rozmowy Dorota Łagodzka, doktorantka w Instytucie Sztuki PAN, zajmująca się problematyką zwierząt w sztuce współczesnej.

Zacznę od tych bardziej sympatycznych. Już w 1976 roku eksperymentujący niemiecki artysta Wolf Kahlen zorganizował (w warszawskiej galerii Repassage) wystawę dla psów, która zamiast nieinteresujących dla czworonogów dzieł sztuk plastycznych prezentowała zapachy.

Artystki Miru Kim i Kira O'Reilly wskazywały (w dwóch niezależnych i nieco różnych formalnie pracach) na podobieństwo człowieka i świń, mieszkając i fotografując się z nimi. Asian Elephant Art and Conservation Project Vitaly'ego Komara i Alexandra Melamida – to organizacja charytatywna, w której malujące (naprawdę całkiem dobrze i często przedstawiająco! – jak można przekonać się na stronie organizacji) słonie „zarabiają” na swoje utrzymanie (straciły bowiem swoje dotychczasowe zatrudnienie w gospodarce).

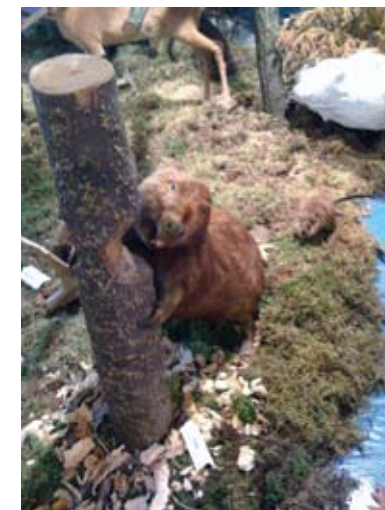
Podejmowanie kontrowersyjnych tematów związanych z naszymi normami dotyczącymi zwierząt może być stąpaniem po kruchym lodzie, o czym przekonała się holenderka Katinka Simonse, znana jako Tinkebell. Zdecydowała się samodzielnie dokonać eutanazji śmiertelnie chorej ukochanej, nie opuszczającej jej na krok, kotki, która bardzo bała się weterynarza. Po śmierci zwierzęcia i oplakaniu go postanowiła z jego skóry uszyć > >



torebkę, przedmiot użytkowy, jakich każdego dnia powstają na świecie tysiące (tyle że z futer innych zwierząt i skór krów, które w przeciwieństwie do kota poddawane są cierpieniu przez całe swoje życie). W kolejnym projekcie uratowała kilkadziesiąt kurczaków płci męskiej z ubojni drobiu. Los małych kogucików w takich miejscach opisuje Peter Singer „Nowo wyklute pisklęta sekserka dzieli na samców i samiczki. Samczyki nie mają wartości handlowej i są odrzucane. Niektóre firmy poddają je zagazowaniu, ale najczęściej wrzuca się je żywcem do plastikowego wora, w którym duszą się pod naporem ciał następnych. Inne żywcem mielone są na karmę dla swoich siostr. W samych Stanach Zjednoczonych prawie 160 milionów ptaków rocznie ginie w podobny sposób”. Tinkebell umożliwiła „publiczności” wykupienie kurczaków. Ponieważ słabo się sprzedawały, zażenowany organizator akcji wykupił je pod koniec dnia i za plecami artystki... przekazał z powrotem do ubojni. Simonse, która jest nota bene wegetarianką i ma trzy koty, stała się przedmiotem niespotykanej agresji internautów. Mało kto zadał sobie trud przeczytania informacji czy wysłuchania wywiadów z nią, ruszyła natomiast machina nienawiści, zaczęły nadchodzić setki tysięcy mejli grożących jej śmiercią, powstawały strony, na których opisywano jak każdego dnia torturuje wymyślnie dla zysku dziesiątki zwierząt. Oczywiście krzywdzenie zwierząt dla sztuki jest niedopuszczalne, jednak co najbardziej paradoksalne w tej sytuacji – do krzywdzenia zwierząt przez artystkę właściwie tu nie doszło – jedynie do wydobycia na światło dzienne praktyk, które akceptujemy, dopóki robione są anonimowo za zamkniętymi drzwiami. Zaskakujące jest też, jak inaczej odbierane jest na przykład wypchane zwierzę w pracowni przyrodniczej czy izbie regionalnej, a jak to samo dzieło taksydermii szokuje przeniesione do przestrzeni galerii jako obiekt sztuki.

Tinkebell zauważa, jak w dobie możliwości szybkiego dzielenia się informacją zdewaluowało się pojęcie prawdy – stało się nią to, co ma najwięcej „lajków” czy udostępnień. Nikt nie zadaje sobie trudu sprawdzenia przekazywanej dalej wiadomości (co dotyczy także wielu innych sytuacji, poczynwszy od stosujących szantaż moralny pseudocharytatywnych łańcuszków po niby naukowe dyskusje wokół wszelkich zmian w prawodawstwie, GMO, szczepień, itp.).

Nieco inny cel przyświecał Michałowi Brzezińskiemu, autorowi wystawy *Life Expanded Definition* prezentowanej w Czytelni Sztuki w Gliwicach. Jedną z ciekawszych prac Brzezińskiego w tym obszarze jest performans, w którym „zaprzyjaźnia” on nas z bakteriami widzianymi pod mikroskopem, a kiedy już więź zostaje zadzierzgnięta, wykonuje banalną rutynową czynność – polewa je domestosem. Jak czytamy w informacji od artysty, wystawa „dotyka problemu komunikacji transgatunkowej i zmieniających się definicji życia w kontekście systemów informatycznych oraz zmieniającej się definicji człowieka dzięki biotechnologii, rosnącej powszechności organizmów transgenicznych i rozmaitych integracji ciała ludzkiego z maszynami informatycznymi”. Rozmawiałam z Michałem o tym >>







projekcie, w którym posługiwał się on obszernie strategią *fake art*, umożliwiającą dokonywanie w sferze sztuki pewnych symulacji intelektualnych (przykładem jest tu salami, które, jak głosi opis, powstało z tkanki pobranej z uda artysty, w rzeczywistości zaś jest zwykłą wędliną kupioną w sklepie spożywczym). Brzeziński postanowił poszukać takich sfer, które wykraczają poza gatunkowość (kultura czy filozofia komunikują tylko wewnątrz naszego gatunku) i doszedł do wniosku, że takim wspólnym obszarem może być dźwięk. Do jednej z instalacji zakupił w efekcie żywą papugę, która miała przy pomocy pewnego interfejsu (znowu symulowanego) informować widzów o swojej samotności i lęku związanymi z przebywaniem w galerii. Dlaczego artysta posłużył się żywym ptakiem (skoro w dużej mierze oparł wystawę na symulacji) nie jest dla mnie do końca zrozumiałe. Pech chciał, że papuga rozchorowała się i umarła, dowodząc poniekąd, że została potraktowana przedmiotowo. Wystawę zamknięto, powstał projekt zapisu prawnego o niewykorzystywaniu zwierząt do celów artystycznych, naszkicowany przez Ewę Chudybę, a skądinąd interesujące założenia wystawy i pozostałe prezentowane tam prace zginęły w pomroce dziejów przyćmione przez ten niepotrzebny epizod.

Wracając do moich własnych doświadczeń, wykraczających poza sferę sztuki, spędziłam ostatniego lata trochę czasu ze zwierzętami gospodarskimi, zwłaszcza świniami. Było to dla mnie bardzo cenne doświadczenie. Kiedy zjawiłam się po raz pierwszy w gospodarstwie, jedna z macior była ciężarna, a druga karmiła już kilka małych prosiąt. Gdy wróciłam po dwóch miesiącach, ta pierwsza karmiła prosiaki, od drugiej zaś zabrano już podrośnięte młode do innej zagrody za ścianą. Poprzednio bojowa i pełna energii matka, tym razem leżała w swoim kójcu w depresji, nasłuchując pochrumkiwania niewidocznych już dzieci. Małe prosiaki tłoczyły się tłumnie przy sztachetach zainteresowane nowymi twarzami, starsze natomiast na widok człowieka truchtały do najdalszego kąta i zamierały bez ruchu w pozycji „nas tu wcale nie ma”; dopiero po jakimś czasie, gdy zachowywałam się spokojnie i przemawiałam do nich, podchodziły by trącać mnie niewielkimi jeszcze ryjami. Być może to zupełnie nieistotne z ich punktu widzenia, dla mnie jednak było to ważne, że miały kontakt z przedstawicielem mojego gatunku – nie za pośrednictwem tasaka i patelni. Muszę tu dodać, że darzę ludzi, którzy je hodują, wielką sympatią i szacunkiem – wrodzili się w pewną sytuację społeczno-ekonomiczną i nie ich rolą jest zmieniać ten paradygmat. W ich gospodarstwie zwierzęta mają zapewnione możliwie minimum cierpienia, żyją z ludźmi przez ścianę, w niewiele gorszych warunkach niż właściciele. Choć przeznaczone na śmierć, nie są traktowane bezosobowo jak zwierzęta w „fabrykach mięsa”. > >







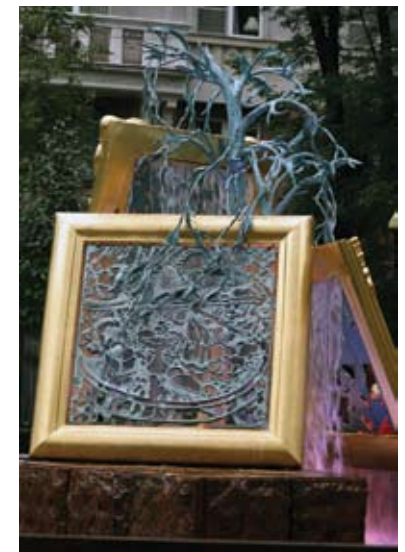
## i kocham to miasto zmęczone jak ja

To, co łączy kwestię praw zwierząt i zagadnienie przestrzeni publicznej, to odzyskiwanie podmiotowości. Tak jak pewne grupy zaczynają wypowiadać się w imieniu zwierząt, traktowanych jako zasługujące na szacunek jednostki, tak inne upominają się o ludzkie prawo do godnej i dobrej przestrzeni życiowej; głównie dotyczy to miast, ale nie tylko.

Analizując zdjęcia z przeróżnych miast świata, można określić najbardziej rzucające się w oczy obszary, jakie przestrzeń publiczną nam oferuje: władza (megalomania, nakazy i zakazy, przeprojektowanie), igrzyska (kicz i rozrywka), pieniądz (handel, reklama bogactwo i bieda). Dość dobrze ilustrują to fotografie z Moskwy (po prawej), gdzie obok socrealistycznych megalitów wyrosły w ostatnich dziesięcioleciach równie przeskalowane parki rozrywki, fontanny, pomniki i centra handlowe.

Kwestię „przeprojektowania” uświadomiłam sobie po raz pierwszy w Lizbonie, gdzie w miejscu dawnych terenów portowych powstał obszar dla rekreacji z wieloma bardzo atrakcyjnymi punktami (piękne ceramiczne fontanny, ekrany wodne itp.), jednak duża jego część została zaplanowana w taki sposób, że właściwie wyklucza jakąkolwiek improwizację. Pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak, jest dla mnie zazwyczaj spostrzeżenie, że przestają robić zdjęcia – nie widać bowiem żadnego zgrzytu, zaskoczenia, żartu, melancholii – czegoś, co powoduje, że chce się nacisnąć spust w aparacie. Przestrzeń ta jest tak stworzona, że prowadzi nas od do, jedną narzuconą ścieżką, ma precyzyjnie określone funkcje (tu oglądamy widok, tu jemy, tu siadamy itp.) [zdjęcia na następnych stronach]. Warszawa zdaje się aspirować do obu wspomnianych modeli, z mniejszym jednak rozmachem. Rozmawiałam o tym z Agatą Szydłowską w kontekście konferencji *Czy naprawdę potrzebujemy dobrego designu?* organizowanej przez Stowarzyszenie Twórców Grafiki Użytkowej. Jak wykazują przykłady niektórych krajów (np. Szwecji), przestrzeń zbyt dobrze zaprojektowana rozleniwia. Nowoczesna koncepcja designu przyczyniającego się do poprawy jakości życia jest obecnie kwestionowana, teoretycy, jak Rick Poyner, twierdzą, że niekiedy lepiej powstrzymać się od projektowania. W obliczu kryzysu, ruchu Oburzonych itp. odrzuca się dotychczasowe zachłystnięcie designem jako motorem pozytywnej zmiany, wskazując wręcz, że rozbudza aspiracje, których potem nie można zaspokoić.

Z mniejszą lub większą częstotliwością mamy do czynienia w miastach z przestrzenią przyjazną. Składają się na nią elementy z bardzo różnych „parafii”. Dobra architektura jest tu tylko jednym z wielu czynników. Małgorzata Hanzl, urbanistka, jako jedną z „najlepszych przestrzeni” wskazuje pasaż pieszy w Essen, który mimo nieszczególnie atrakcyjnej architektury można z pewnością nazwać przyjaznym, na co składa się dostępność (dobry transport publiczny w to miejsce), obecność instytucji publicznych, straganów, zadaszonych wejść do sklepów, > >

















wystaw, a także „znaczenie” (historia). Na mnie z kolei spore wrażenie zrobił Sztokholm, gdzie w środku zimy przyjemnie chodziło się po ulicach, gdyż w niemal każdym oknie stały świeczki, a przed sklepami paliły się lampki, ogienki itp. Uwagę zwracały też liczne ogólnodostępne miejsca do uprawiania sportu, np. boiska do koszykówki czy piłki nożnej, dzięki czemu od rana widać tam grających, niezależnie od pogody i pory roku.

Jacek Damiński, architekt – wizjoner, na pytanie o dobrą przestrzeń odpowiada, że to taka, która umożliwia nowe interakcje między ludźmi. Potwierdzają to moje fotografie, na których widać, że jest to przestrzeń spotkań, w której można swobodnie się poruszać i siedzieć, osłonić przed słońcem i deszczem; to także przestrzeń, w której chroni się stare, cenne drzewa, nasadza nowe, często przestrzeń z wodą, sztuczną lub naturalną, nie narzucająca się, otwarta na interakcję i nie do końca zdefiniowana.

Tam, gdzie brakuje dobrej architektury i przyjaznej przestrzeni, pewne cechy i oddolne działania pozwalają owe niedoskonałe miejsca oswoić i uczłowieczyć. Potrzeba zwyczajności (meble stawiane przed domem, tereny dzielone ze zwierzętami), nostalgia (stare neony, szyldy), kontrasty (zderzenie epok, funkcji), partyzantka (miejskie ogrodnictwo, samowolna mała architektura), alternatywna gospodarka (grupy wymian, banki czasu, kooperatywy spożywcze), nieposłuszeństwo (squaty, graffiti, wlepki i wszelkiego rodzaju zakazany street art). Działania tego typu często ocierają się o sztukę, a nieraz są inicjowane przez artystów, zbliżając się do pojęcia „rzeźby społecznej” Beuysa.

Odpowiedzią władz na problemy z przestrzenią jest najczęściej tak zwana rewitalizacja. W teorii jest to skomplikowany proces, obejmujący wnikliwe konsultacje społeczne, tworzenie miejsc pracy, kultury itd. W Dublinie dawną dzielnicę portową powoli przekształca się w osiedle mieszkaniowe, uwzględniając wiele istotnych dla jego stabilnego rozwoju czynników, przede wszystkim „mixed use”, czyli dopilnowanie, by przestrzeń była użytkowana w rozmaity sposób; między innymi w tych samych apartamentowcach znajdują się drogie mieszkania na sprzedaż i lokale komunalne w tym samym standardzie, co zapobiega powstawaniu gett biedy i bogactwa. Dotyczy to również lokali użytkowych – zróżnicowany wynajem w przypadku kryzysu w jednej branży nie powoduje wyludnienia terenu. Z moich obserwacji w miastach polskich rewitalizacja oznacza najczęściej swoisty strzał w stopę; po przeprowadzeniu remontu natychmiast podnosi się czynsze lokali użytkowych, zmieniając w teorii ożywianą ulicę w martwy po 18:00 kombinat bankowo-finansowy. Nie dziwi zatem, że projekty rewitalizacji są coraz częściej oprotestowywane przez „zwykłych obywateli” przywiązanych do starych drzew, małych sklepów, oldskulowych barów, ulubionych widoków dzieciństwa i obawiających się gentryfikacji, która wykluczy ich z kolejnych terenów w mieście. Coraz bardziej widoczna staje się grupa, której postęp za wszelką cenę, stawianie coraz większych, droższych, a co za tym idzie – mniej dostępnych – budowli, wydaje się absurdem. > >







– Ale co robić w skorumpowanym społeczeństwie? Czy powinno się przestrzegać skorumpowanego prawa? Czy jest przestępstwem złamanie złego prawa, albo zlej przysięgi?

– To jest przestępstwo – odparł powoli Cartwright, ale może być słuszne.

– W społeczeństwie przestępców – dodał Shaeffer – niewinny człowiek trafia do więzienia.

– Kto decyduje o tym, czy społeczeństwo składa się z przestępców? – dopytywał się Benteley – Skąd wiadomo, że zeszło na złą drogę? Skąd wiadomo, kiedy należy przestać przestrzegać prawa?

– Po prostu wiadomo – zdecydowanym tonem odparła Rita O'Neill.

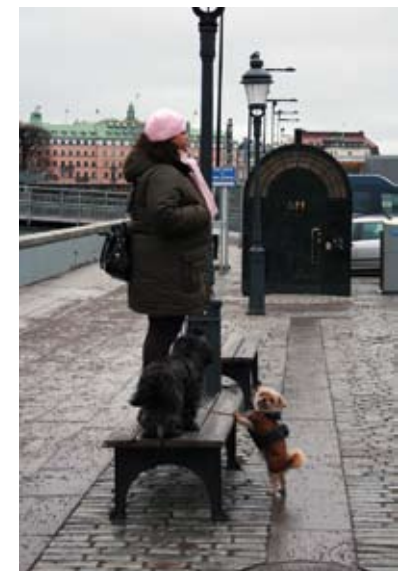
*Philip K. Dick, „Słoneczna loteria”*

Za znacznie ważniejsze uważają sprawy praw lokatorskich, ochrony miejskiej przyrody, dostępności dla niepełnosprawnych i matek z wózkami, przestrzeni otwartej dla wszystkich, zachowania dziedzictwa kulturowego. Modne w ostatnim ćwierćwieczu pseudonauki dotyczące marketingu i reklamy próbowały nas przekonać, że najważniejsza jest warstwa PR-owa, ukazująca, jacy jesteśmy nowocześni, do przodu i cool. Wszystko wskazuje na to, że coraz więcej osób ma to, brutalnie mówiąc, gdzieś.

Jak wiadomo, większość potrzeb ludzkich oscyluje gdzieś między wolnością a poczuciem bezpieczeństwa. Często wybieramy większą dawkę bezpieczeństwa kosztem wolności, gdyż ta wymaga odpowiedzialności i niewygodnego spojrzenia prawdzie w oczy. W czasie takim, jak obecny, gdy stoimy u progu nieuchronnych przemian społecznych, ekonomicznych, etycznych i kulturowych, poczucie bezpieczeństwa wielu osób jest mocno zachwiane. Na powierzchnię społecznej magmy wypływają grupy dotychczas skutecznie „zamiatane pod dywan”: niepełnosprawni, LGBT, anarchiści, „kury domowe”, obrońcy praw zwierząt, ateści... Dzięki mediom społecznościowym potrafią się dziś sprawnie organizować, wyrażać swoje postulaty i sprzeciw. Udawanie, że się ich nie widzi, niczego nie zmienia.

Dzieci śpiewają „Imagine” Johna Lennona na szkolnych konkursach piosenki i wzruszona publika klaszcze. A jednak tak łatwo przychodzi oddanie wolności myślenia i samostanowienia za bezpieczeństwo korporacyjnej pensji albo ciepłok doktryny – ideologicznej, ekonomicznej czy religijnej. Wolności patrzenia na świat ze zdziwieniem, zachwytem i pokorą. Tak trudno natomiast zrezygnować z wolności agresji, zadawania cierpienia, zjedzenia sznycła za cenę życia zwierzęcia, egoistycznej samorealizacji kosztem innych.

William Gibson, wybitny pisarz science fiction, zapytany, co może uratować ludzkość, odpowiedział: „Pogodzenie się. Pogodzenie z przemijalnością bytu. Pogodzenie się z niedoskonałą naturą bytu, a może właśnie z jego doskonałą naturą – zależy jak na to spojrzeć. Pogodzenie się z faktem, że to nie jest próba. Że to by było na tyle” ●



























Powolną rejestracją rzeczywistości – ingerowanie w przestrzeń. Przekraczanie granic między publicznym i prywatnym, między kobiecym a męskim, dopuszczonym do głosu i tworzonym po cichu. Haft a przestrzeń miejska. Forma dokumentu, nieinwazyjnego, a jednak to, co w przestrzeni jest głosem oddolnym, napisem na murze lub wypowiedzią lokalsza, jest już z góry wpisane w rubrykę „niewysłuchane”, „ich”, „nieważne”. A przez to specjalnie nie razi, bo i nie obchodzi. Dopiero przetworzone przez piękną formę, „grzeczną”, „domową”, „kobiecą” techniki przykuwa uwagę i szokuje. Ale nie to jest zamiarem artystów posługujących się w swojej sztuce techniką haftu, by rejestrować czy przetwarzać rzeczywistość miejskiej przestrzeni. Haft zmusza do zauważenia, zadawania pytań, nadaje nowe treści, zmienia kontekst z jednostkowego na uniwersalny, przekazujący coś ważnego o całej zbiorowości.



Vahida Ramujkic, Serbka i Aviv Kruglanski, Izraelczyk, którego rodzina pochodzi z Polski, oboje żyjący i tworzący w Barcelonie, byli w Polsce dwukrotnie na zaproszenie galerii w Warszawie i w Łodzi. Rejestrowali życie warszawskiej Pragi i łódzkiego Księżego Młyna. Gdy ich pierwszy raz spotkałam, siedzieli przy studni. Haftowali. Powoli, spokojnie, cicho rozmawiając. Przywiodło mi to na myśl scenkę z azjatyckiej czy afrykańskiej prowincji. Niespiesznego życia. Czasu płynącego swoim rytmem, bez „co do minuty” i „na już”. Swoją technikę rejestracji rzeczywistości Vahida i Aviv nazywają haftem dokumentalnym i mówią o niej low-tech, bo to technika niezaawansowana, powolna, dająca możliwość refleksji, zmiany postrzegania w trakcie procesu, ale i dostępności, bo taka dokumentacja nie wymaga przecież specjalnych nakładów finansowych, wykształcenia, specjalizacji. Artyści działają tam, gdzie mieszkają osoby, będące nieco z boku informacji, zamknięte w swojej lokalnej społeczności biednej dzielnicy miasta lub małej miejscowości. Słuchają lokalnych mieszkańców, rozmawiają z nimi, często zapraszają ich do wspólnej pracy. Powstaje subiektywna narracja, bez ważnej chronologii czasu, już przez to bardziej uniwersalna, z zapisem języka, spostrzeżeń, opowieści. Ale właśnie często ten język, który jest zwykle marginalizowany, niesłuchany – przez artystyczne przetworzenie, przez wyhaftowanie kolorową nitką s t a j e s i ę i zaczyna drażnić, szokować, bo ktoś go wreszcie zauważył, bo coś tu nie pasuje do gotowych obrazków, obrazów, przekazów, które dostajemy, które są nam bezrefleksyjnie, codziennie podawane w przestrzeni miasta.



Polska artystka Monika Drożyńska także posługuje się w swojej sztuce haftem. Rejestruje napisy na murach i przenosi je na tamborki, wyszywa kolorowymi nićmi, dodając kwiatki i szlaczki. Vahida, Monika i Aviv wspólnie realizowali projekt „Wyhaftuj” w łódzkiej Galerii Manhattan w czerwcu 2012 r. Całą trójkę łączy wrażliwość na ludzi, na komunikację, uważność. Działają lokalnie, tu i teraz, nadając jednak poprzez swoją sztukę wymiar uniwersalny temu, co lokalne, a przez to pominięte. Dla Drożyńskiej haft nie jest jedynym medium, jakim posługuje się w swoich pracach. > >

Patrycja Dołowy

**sztuka jak biskopt  
czyli rozmowy o hafcie  
w przestrzeni miejskiej  
oraz o przyjemności,  
zaangażowaniu i śmiechu**





**Monika Drożyńska** Haftowanie jest dla mnie ekstremalnie przyjemną formą spędzania czasu. Tym dla mnie jest. I jest narzędziem, które wybrałam, gdy zaczęłam zbierać napisy z murów. Gdy już miałam ich większą kolekcję, pomyślałam, że trzeba by je przepisać, napisać od nowa. Zastanawiałam się jak, i pomyślałam, że można je wyhaftować. Może wtedy uda się przełożenie z wartości lokalnych, na uniwersalne. Nigdy wcześniej nie haftowałam. Chciałam tylko przepisać zdania i szukałam sposobu, żeby nadać im pewne ogólne znaczenia, zmienić w uniwersalne komunikaty. By to, co zwykle jest marginalizowane poprzez sposób wyrażania się, znalazło inne miejsce w naszej skali postrzegania. Jeśli sfotografujesz po prostu napis na murze, prawdopodobnie zainteresuje to niewielką grupę ludzi. Chciałam przepisać moją kolekcję napisów z murów, by nadać im nowe znaczenia, by stały się też zabawne, ironiczne, żeby trafiły do szerszego grona odbiorców, pokazać wspaniałe wartości, które są w tych hasłach.

**PD** *Niektóre są wspaniałe, ale niektóre ordynarne. Są też rasistowskie. Jednak przez zmianę medium, zmieniasz ich kontekst i przenosisz do zupełnie innej sfery niż pierwotna – choćby z publicznej do domowej, a potem z powrotem do publicznej. Przy tym strasznie je estetyzujesz. Gdy mijam napisy na murach, zwykle ich nie doceniam, kogoś mogą gorszyć, a Twoje hafty są po prostu piękne.*

**MD** Wiesz, bo ja mam do nich stosunek opiekuńczy. Pochylam się nad tym, co pochodzi od pojedynczego człowieka. To po prostu jest i ja to w pewien sposób dokumentuję swoim haftem. Z natury jestem opiekuńcza. Taka mamusia. Lubię poprzytulać. Nie zawsze się z nimi zgadzam, czasem są straszne, ale często się zgadzam. Przy tym zbiorze, który się cały czas powiększa, dają coraz pełniejszy obraz tego, o czym możemy myśleć, albo o czym myślimy. Wydaje mi się, że te napisy są jednymi z niewielu komunikatów w przestrzeni publicznej, może jedynymi, które nie są wyprodukowane przez sferę komercyjną. W mieście nie ma miejsca na wypowiedź pojedynczego człowieka, żeby ona była widoczna, żeby była słyszalna przez innych. Wydaje mi się, że pisanie na murach haseł, to są jedyne momenty słyszalności ludzi w przestrzeni publicznej. Wszystkie inne komunikaty, które nas otaczają w mieście, są mniej lub bardziej użytkowe: reklamowe lub informacyjne, mają czemuś służyć. A te nie służą niczemu. Zasadniczo do niczego nie prowadzą. Teraz tak myślę, nie mam na ten temat utartych poglądów, one się cały czas się zmieniają i są pełne wątpliwości.

**PD** *Ty im jednak dajesz jeszcze inny głos, bardziej salonowy. Przez to zmieniają kontekst. Póki są na murach, są mało widocznym wystrzałem, którym się mało kto zajmuje. Zmieniasz ich kontekst, po pierwsze je utrwalając, po drugie przenosząc w inne medium, po trzecie w przestrzeń zwykle nieuprawomocnioną dla przekazu zwykłego człowieka*

**MD** Nigdy nie korzystam z graffiti, ani z szablonowców, nie korzystam ze street artu, tylko z wandalizmu. Street art czy graffiti zawsze są mniej lub bardziej przemyślane. Czasem bardzo konsekwentne, bywa że mniej, ale zawsze jest w tym jakiś moment zastanowienia się. Wybieram takie emanacje w przestrzeni miejskiej, które są robione z ręki, którym nie można nadać żadnych, absolutnie żadnych znamion sztuki. > >



Panicz was urokiem pęta!



**PD** *Vahida i Aviv mówią o hafcie, jako narzędziu rejestrowania rzeczywistości, które im pozwala zwolnić. Widzą haft jako narzędzie low-tech, powolnego dokumentu, czegoś, co jest w opozycji do dzisiejszego widzenia i rejestrowania świata, na szybko, bez refleksji, byle „złapać”. A oni siedzą przy studni i haftują. Słuchają, co mówią ludzie, rozmawiają z nimi, zapamiętują, wyszywają. Ich stosunek do tego, co powiedzieli, może się jeszcze zmieniać zanim skończą pracę. Mogą to zdanie czy dwa wyhaftować zupełnie inaczej.*

**MD** Haft jest pracochłonną czynnością, która wymaga skupienia, ale innego niż np. praca nad tekstem. Jak sobie to wyrysujesz, wymyślisz, jakoś zaplanujesz, to już możesz słuchać ludzi, rozmawiać, włączyć radio. Ale musisz się nad tym pochylić, ze skupieniem, z uwagą. Trzeba mieć statyczną postawę. To przeciwieństwo tego, w jakim rytmie żyjemy. W ciągłym ruchu, ciągłej zmianie, na wysokiej energii, dynamicznie. Tego tutaj nie ma. Siedzisz, kocyk, termofor, audiobook.

**PD** *Wcześniej chodzisz po mieście i zbierasz napisy, kolekcjonujesz. To z kolei chyba zupełnie co innego?*

**MD** Nie szukam napisów. Nie łażę po mieście, w tym celu. Po prostu dużo chodzę, i jakoś one same się pojawiają. Gdy zauważam coś interesującego, to fotografuję. Mam wielką kolekcję zdjęć, ale nie ze wszystkiego korzystam. Ostatnio interesują mnie absurdy i robienie jaj. Na przykład znalazłam i wyhaftowałam „Szachy są zawsze dobrym pomysłem”. A pod koniec zeszłego roku: „Rozmowy, spacer, szmery, bajery”.

**PD** *Nadajesz im znamiona sztuki, nadajesz inną formę, przenosisz do galerii. Co to dla Ciebie znaczy?*

**MD** Największe znaczenie ma dla mnie przenoszenie ich z powrotem do przestrzeni miejskiej w, czasem absurdalnie zmienionej, formie haftów pokazywanych na wielkich billboardach. Towarzyszą wtedy temu, co zwykle w mieście bywa. To najważniejsze przełożenie. Pokazywanie ich w galerii traktuję bardziej jako pokazanie kolekcji, dokumentacji, zbioru. Dużo ważniejsze jest pokazanie ich na nowo w przestrzeni miejskiej.

**PD** *W tym kontekście oficjalnego zaistnienia, uprawnionego pojawienia się w przestrzeni miejskiej, zaczynają być zauważane, ale i zaczynają gorszyć.*

**MD** Wróciłabym do tego, o czym mówiłam wcześniej. To są jedyne emanacje ludzkie, oddolne w przestrzeni miejskiej, bo inne są produkowane. Skandal wokół „Haftu miejskiego” też został wyprodukowany. Firma Videoboard użyczyła mi swoich billboardów, nie wynajęła ich za pieniądze, więc gdy poprosili mnie, żebym zahaftowała „wypierdalaj” w „Zimo wypierdalaj” ze względu na ich innych klientów – firmy, które wynajmują od nich powierzchnie komercyjnie na reklamy, zrobiłam to. Oni zrobili dla mnie uprzejmość, to i ja im zrobiłam uprzejmość. Na zasadzie pewnej umowności. Gdy telewizja kręciła hafty, nie było na nich słowa „wypierdalaj”, było już zahaftowane. Ludzie oglądający program nie mogli zobaczyć tego słowa, ale pani, która czytała opis, > >





przeczytała, że słowo tam jest: „Zimo wypierdalaj” i się zaczęło. Ludzie patrzą i nie widzą. Bardziej wierzą przekazom medialnym. To telewizja wywołała skandal. Potrzebowała haka na ministra kultury, zaraz potem jak się zahaczyli na MSZ. To był mecz na moim boisku, ale nie moich drużyn.

**PD** *A jak było z haftami zamówionymi u Ciebie przez Operę Narodową do „Halki”? To też nie Twój mecz?*

**MD** To co innego. Tu to ja się wkurzyłam. To oni przyszli do mnie, oni wybrali cytaty, konsultowali projekty i wreszcie wszystkie je zaakceptowali, aż nagle, gdy prace zostały wysłane, pełnomocniczka dyirekcji się z tego wycofała, jako jedyny powód podając niepoprawność polityczną. Coś niewytłumaczalnego merytorycznie. Zostałam potraktowana nie jak partnerka we współpracy z potężną instytucją. Nigdy mimo kilkakrotnych próśb nie dostałam od Opery uzasadnienia. Takie starcie: artysta-instytucja najczęściej jest starciem nie do wygrania. Jeśli oni przyjmują postawę dyktatury, a nie dialogu, to nigdy z nimi nie wygrasz.

**PD** *W Kielcach w trakcie wernisażu Sztuki Matek też mieliśmy przygodę z pracą „Zimo wypierdalaj” – została nazwana skandaliczną, skrajnie feministyczną. Najbardziej niesamowite jest to, że były na tej wystawie prace, które spokojnie mogłyby z konserwatywnych pobudek zostać zaatakowane przez owego ważnego gościa wernisażu, lecz on właśnie wybrał hafty. Jakby już samo to medium w galerii było nie do zniesienia prowokujące. Bo to nie sztuka wyższa, nie do galerii, bo to robótka dla kobiet...*

**MD** Może niektórzy ludzie czytają haft jako coś ekstremalnie kobiecego, domowego, a przez to ugiadzonego, uległego? Więc gdy jest pokazywany w przestrzeni wysokiej sztuki, w takim zaangażowanym kontekście, nie są w stanie go zaakceptować?

**PD** *Rzeczywiście mamy takie doświadczenia z całą tą wystawą, na której przecież znane i uznane, w innych kontekstach szanowane przez krytyków i widzów, artystki, w kontekście tej wystawy są po pierwszym zdaniu atakowane lub upupiane. Jakby sztuka kobiet/matek była nie dla galerii, przypisana sferze domowej.*

**MD** Często jestem pytana o haftowanie. Zdarzają się propozycje – zaproszeń na wystawy poświęcone haftowi użytkowemu. To dla mnie niesamowite. Zresztą w ogóle tak jestem kojarzona. W Krakowie na Sylwestra weszliśmy nad ranem do kolejnej knajpy, gdzie usłyszałam „A Ty Drożyńska o której przychodzisz? O szóstej? Co Ty przyszedł się tu wyhaftować?”

**PD** *A przecież używasz też innych mediów. Widzę Twoją sztukę jako bardzo społeczną. Słuchasz oddolnych głosów, dajesz im być usłyszanyymi. Nie nazwałabyś jej tak? A jak byś nazwała?*

**MD** To działanie instynktowne, szukanie. Rzeczywiście wiele z tych działań można nazwać społecznymi, w kontekście przestrzeni miejskiej, która jest lustrem społeczeństwa. Ale równie dużo robiłam prac, > >





tylko dlatego, że w sztuce nie ma nic bardziej fantastycznego od robienia sztuki! Nie sztuki na zaproszenie, na zamówienie, tylko po prostu sztuki. Nie jestem przywiązana do jednego medium, korzystam z różnych. One są dla mnie jak młotek. Raz potrzebuję mniejszy, raz większy, raz jakiś nietypowy, bo taki mam gwoździec do wbicia. Połowa moich prac w ogóle nie jest zaangażowana społecznie.

**PD** *Jednak tak są odbierane.*

**MD** Mam w sobie wrodzoną troskę. Dlatego często sięgam po tego rodzaju tematy. Denerwuje mnie coś i chcę tę sprawę załatwić. Ale nie tylko. Zrealizowałam wiele niezaangażowanych prac, albo zaangażowanych tylko w siebie (uśmiech). Jedną z ostatnich to „Pozdrowienia”. Mam Babcię, która mieszka w górach, rzadko się widzimy, jestem z nią bardzo związana. Dlatego wszędzie, gdzie jestem, wysyłam jej kartki – pocztówki. Gdy ostatnio byłam w Łodzi, chciałam Babci kupić używaną kartkę w antykwariacie. Znalazłam tam dwa niesamowite pudła pełne starych kartek, z niesamowitymi rzeczami na odwrocie: pozdrowieniami, życzeniami, niektóre nawet sprzed wojny. Kupiłam ich dużo i czytałam. Zauważyłam, że te pocztówki są pisane zrywami. Ludzie kupują pocztówkę z myślą, że ją wyślą, piszą coś, kupują znaczek, zapominają, jadą gdzieś indziej, przypominają sobie, chcą ją wysłać z kolejnego miejsca, coś dopisują, dokleją kolejny znaczek. Niektóre kartki mają po 3 znaczki. 90% z nich nie została wysłana z tego miejsca, w którym była kupiona. Ja na podstawie ich drogi zrobiłam hafty – obraz ich podróży na mapie. Droga pamięci ludzkiej, która jest drogą pomyłek i błędów.

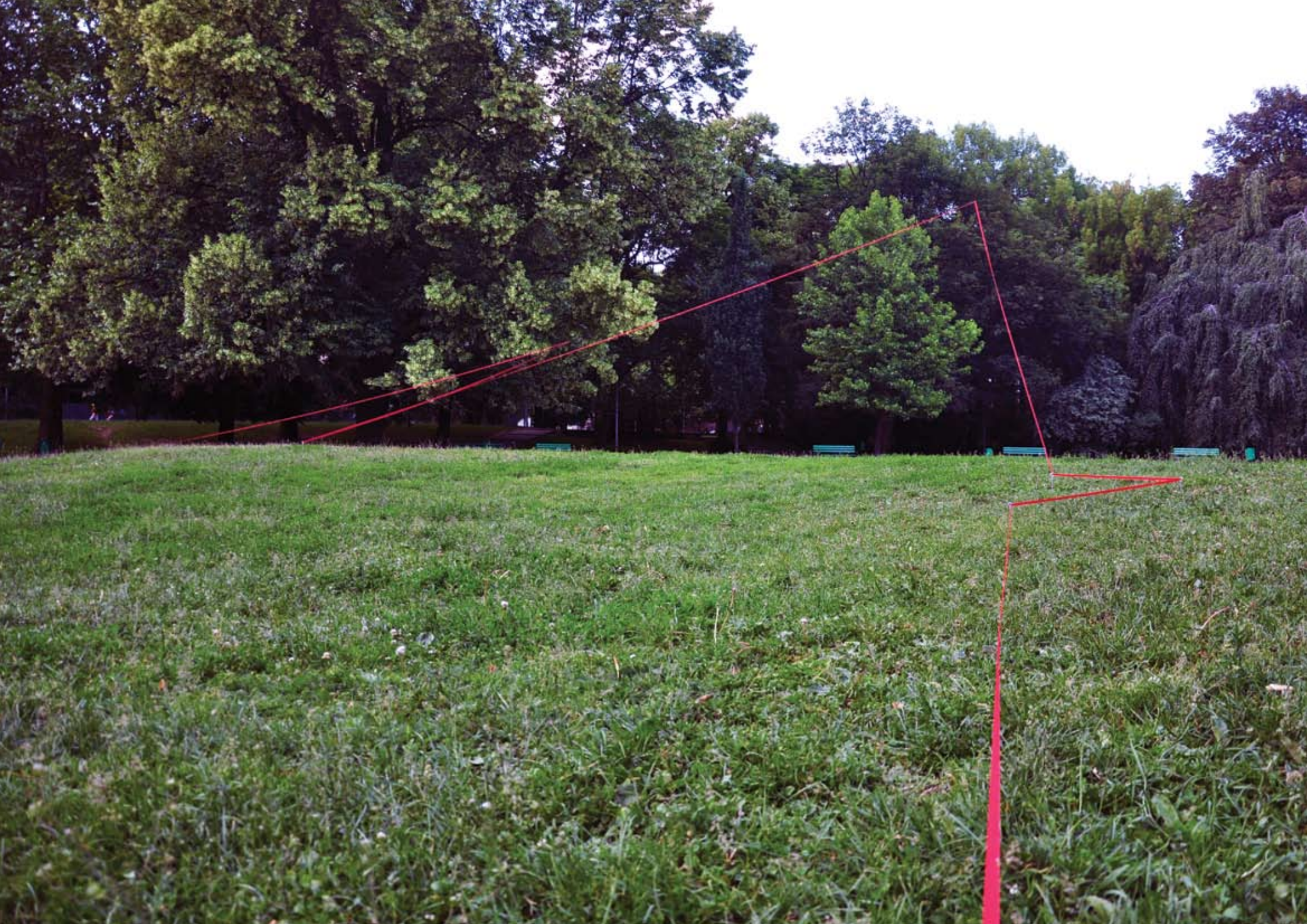
**PD** *Ale w tym jest pochylenie się nad ludźmi.*

**MD** Wydaje mi się, że każda sztuka i każdy artysta od tego zaczyna. Ale też praca artysty jest strasznie samotna. Można by właściwie nie wychodzić z domu, z pracowni. Sama zbierasz, sama pracujesz. Można z nikim się nie widywać i z nikim nie spędzać czasu. I w tej strasznej samotności kontakty z żywymi, prawdziwymi ludźmi lub w przypadku pocztówek ich namiastką, są konieczne, żeby żyć. Czerpiemy od siebie nawzajem. Dlatego lubię pracować z innymi. Wtedy łączę to, co najbardziej lubię w życiu: hafty i ludzi. Tak jest z „Wyhaftuj się”, gdzie proszę ludzi, żeby haftowali na płachcie swoje frustracje, swoje myśli, trochę jak powolny substytut tych napisów na murach.

**PD** *Dla mnie ważną pracą jest „Moment”.*

**MD** „Moment” – klepsydra. Przez rok piłowałam sobie paznokcie. Pylek z opiłków moich paznokci z roku wrzuciłam do klepsydry. Dla mnie to relatywizuje układ czasu. Efekt żmudnej pracochłonnej czynności powtarzanej z tygodnia na tydzień przez rok, został zamknięty w klepsydrze, która odmierza zaledwie minutę. Natomiast „Odpoczynek” to czysty hedonizm. Rok w rok, jak jest taka brzydka pogoda, robię >>







na drutach i oglądam seriale. Ta rolka ma już ze 180 metrów. Jest w czterech kolorach. Teraz będzie piąty – żółty. Jest jeszcze „Ręka Boga” – haft w przestrzeni miejskiej bez tkaniny. Robię sobie żarty z siebie jako hafciarki. Mój mąż jest piłkarzem z pasji. Poświęca dużą część swojego życia piłce nożnej, więc piłka jest obecna w naszym życiu. Przeanalizowałam jeden z najważniejszych goli w historii futbolu – Maradony z 1986 roku, strzelony ręką znad głowy. Później Maradona tłumaczył, że w zdobyciu bramki pomogła mu ręka boga. Argentyna przeszła dzięki temu golowi do ćwierćfinału mistrzostw świata. Ten gol, jako „ręka boga” przeszedł do historii piłki nożnej. Przerysowałam drogę gola liniami. Odtworzyłam rękę boga, jak gumką do majtek w parku.

W „Kwietniku” zasadziłam wokół pomnika Mickiewicza w Nowym Sączu kwiatki. Na tablicy jest napisane: „Adamowi Mickiewiczowi Ziemia Sądecka”, a ja wysadziłam: „Adamowi Mickiewiczowi Monika Drożyńska”. Nie ma w tym wielkiego zaangażowania. To jest postopniowane, jak u każdego. Raz coś nas wkurzy, raz chcesz się nad czymś pochylić, raz sobie zrobić przyjemność, innym razem pożartować.

Na przykład instalacja dźwiękowa „Pomnik”. Ta praca jest wyrazem mojej bezsilności. Pracowałam nad projektem i zależało mi, by był super mądry, opracowany na bazie literatury i historii. Szukałam, czytałam, notowałam, wychodziło z tego coraz większe zagubienie, znudzenie, zmęczenie tematu. Z tej frustracji zaczęłam się śmiać. Z siebie, z tego co robię, sztuki, galerii, konkursów. Ten śmiech był bardzo oczyszczający, mogłam zacząć od nowa, ale postanowiłam na tym zakończyć. Ta praca jest dziś dla mnie wstępnym wytłumaczeniem wszelkich moich działań. Dystansu do siebie, sztuki. Bunkier ją kupił do swojej kolekcji i teraz jest permanentnie odtwarzana przy wejściu. To dla mnie sygnał dystansu, ale też na pewno obecności.

**PD** *Jednak wszystkie te prace mają dalszy przekaz społeczny: sztuka kobiet, ingerencja w przestrzeń miejską. Nawet jeśli to jest dla Ciebie frajda i czysta przyjemność, to ma odniesienia społeczne.*

**MD** Oczywiście. Zwykły kwietnik jest przecież uderzeniem w pomnik, a pomnik jest symbolem władzy i jest z nią kojarzony. Władza, kobieta, kwiatki, beton – mocno uogólniam, można mnożyć interpretacje. Ale nie jestem hafciarką wiodącą lud na barykady.

**PD** *Po co to wszystko robisz?*

**MD** Sztuka jest moją największą pasją, zaraz obok butów (śmiech). Gdybym miała wymieniać, co jest ważniejsze: moja sztuka czy mój syn, nie wiem, może pierwsza by była sztuka. Sztuka jest sensem mojego życia. Sztuka je wypełnia. Jak w torcie – jest biszkopt, masa, biszkopt, masa, polewa i frosting. Te wszystkie warstwy, które się na niego składają, czynią tort – życie, ale biszkopt, który przeważa, to jest sztuka. Bez całej reszty nie byłoby tortu. Bez frostingu tort byłby niedobry, ale to biszkopt czyni, że tort się trzyma ●

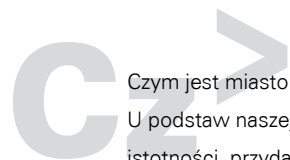
# MIASTO OCZAMI KOBIET

WARSZTATY FUNDACJI MAMA

/ ZAPRASZAMY KOBIETY W KAŻDYM WIEKU / TE W TENI-  
SÓWKACH I NA OBCASACH, Z WÓZKAMI, NA WÓZKACH  
I O LASCE / LUBIĄCE SPOKÓJ I DOBRZE  
CZUJĄCE SIĘ W MIEJSKIM ZGIEŁKU /







Czym jest miasto? Czyje jest miasto? Kto ma monopol na odpowiedź? Czyja odpowiedź jest ważniejsza?

U podstaw naszej kultury leży bardzo wyraźne dzielenie rzeczy i spraw na części, które układamy według znaczeń, istotności, przydatności – hierarchizujemy je. To umożliwia skoncentrowanie się na jednej rzeczy w danym czasie, lecz zarazem pozbawia nasze czynności kontekstu. Edward T. Hall w swoim „Poza kulturą” pisze, że w naturze rzeczy planowania leży selekcja faktów postrzeganych i przyciągających uwagę. Pozwala ona na pojawienie się określonej liczby zdarzeń w danym czasie. Rzeczy zaplanowane i niezaplanowane tworzą systemy nadrzędnych. Najpierw zawsze rozpatruje się rzeczy ważne, te mniej istotne zostawiając na koniec lub pomijając zupełnie, gdy nie starcza już na nie czasu lub miejsca. W strukturze naszych miast, w tym jak planowana jest przestrzeń publiczna, w tym, jak użytkownicy miasta w tej przestrzeni mogą funkcjonować, bardzo wyraźnie widać, co jest ważne, do czego przywiązuje się wagę. Przestrzeń i posługiwanie się nią sygnalizują hierarchię wartości. Wśród nakładających się na siebie systemów nadrzędnych piętrzą się gdzieś pod spodem potrzeby tych grup, które w planowaniu przestrzeni zostały pominięte jako mniej istotne. Ich potrzeby są w przestrzeni nieobecne, bo znajdują się gdzieś na niższych poziomach. Nie docieramy do nich, bo tak zaplanowaliśmy naszą przestrzeń, tak ją widzieliśmy, tak ją nadaliśmy jej hierarchię wartości. Hierarchię wartości możemy jednak zmienić. Jeśli jako priorytetowe uznamy wartości sprawiedliwości społecznej, równego dostępu, partycypacji, uczestniczenia, w ich myśl musimy odkryć ukryte poziomy, zmienić pojęcie tego, co ważne.

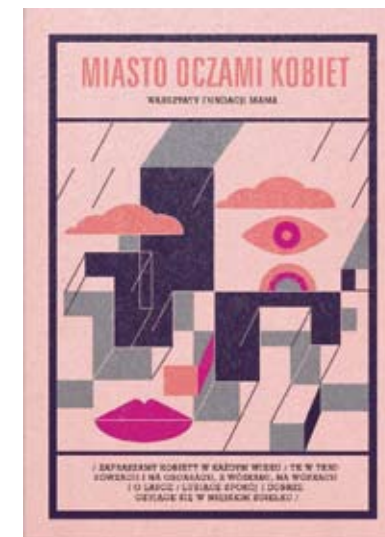
### **niezaspokojone potrzeby**

Wydaje się, że specyfika przestrzeni miejskiej wymusza niejako zachowania konkurencyjne, gdzie każda jednostka czy grupa społeczna, z determinacją walczy o swoje interesy.

Kluczowa w tej walce jest kwestia niezaspokojonych potrzeb. Niezaspokojone potrzeby, nawet te nieuświadomione, powodują, że czujemy głęboki dyskomfort. To właśnie od potrzeb należałoby zacząć, jeśli chcemy odslaniać poziomy dotąd ukryte pod warstwami tego co ważniejsze. W projekcie „Miasto oczami kobiet” Fundacji MaMa zależało nam, by skupić się na specyficznych potrzebach kobiet, które nie są w przestrzeni miejskiej werbalizowane. Potrzeby kobiet w strukturze miasta są w pewnym sensie nieobecne – kobiety adaptują się do zastanej przestrzeni. Dostają tę przestrzeń niewygodną i nieprzyjemną, a potem z mozołem wymyślają sposoby, jak ją okiełznać, jak w niej przetrwać, poruszać się w niej. Z nieistnieniem kobiet w wielu wymiarach przestrzeni publicznej sprawa nie jest prosta. Często trudno jest im dotrzeć do własnych potrzeb, wyodrębnić je, zwerbalizować. Ma to swoje źródło w stereotypowym postrzeganiu kobiet jako pasywnych i ugodowych oraz w silnie uwarunkowanym kulturowo przypisaniu ich do sfery domowej i obszarów związanych z opiekuńczością. Ci, którzy projektują miasto, nie mają szans dotrzeć do nich, usłyszeć ich, uświadomić sobie, a więc i wziąć pod uwagę tego, czego chcą. > >

## **Patrycja Dołowy oczami kobiet – miasto dla wszystkich**

**o projekcie  
„Miasto oczami kobiet”  
Fundacji MaMa**







Architekci czy urbaniści mają swoje wytyczne. Te wytyczne nie są niezmiennie. Kiedyś nie brano pod uwagę potrzeb osób na wózkach, teraz przynajmniej wiadomo, że istnieją. Idea partycypacji w projektowaniu przestrzeni oraz uczestniczenie w życiu miasta dotyczy wszystkich grup społecznych. W naszym projekcie oddaliśmy głos kobietom. Jako fundacja od lat skupiamy się na zmianach, które dotyczą właśnie kobiet – ponad połowy użytkowników przestrzeni miejskiej. Chcemy wyodrębnić ich głos, aby wsluchać się w specyfikę ich problemów. Nie dotyczą one jedynie barier architektonicznych czy bezpieczeństwa, ale też wyrównywania szans na różnych innych płaszczyznach (mentalnych), jak również zaspokajania potrzeb estetycznych, poczucia wspólnoty, integracji, odpoczynku, działania, dostępu do zasobów.

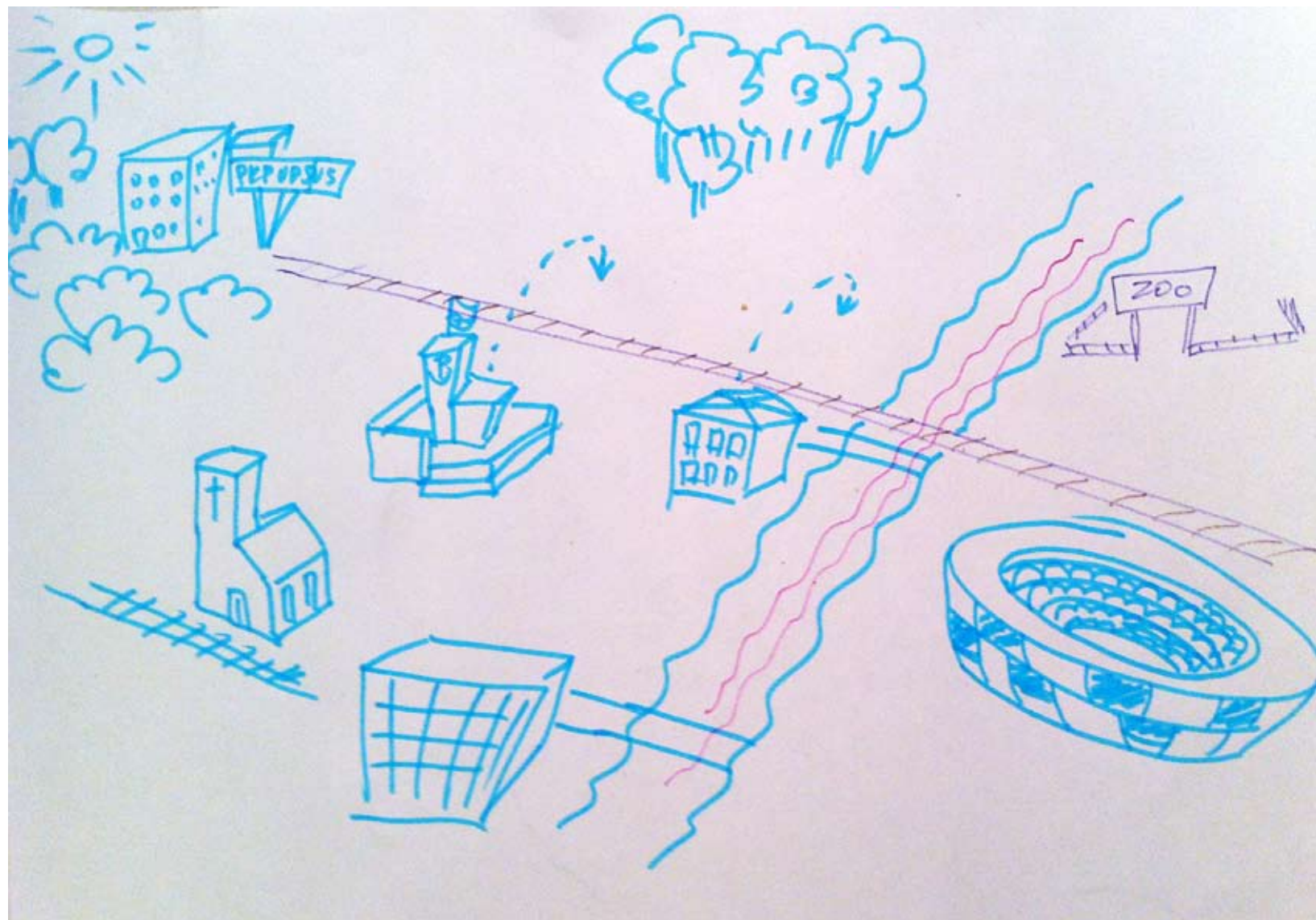
### **dziurawe miasto**

Miasta są tak zaprojektowane, że nie odpowiadają na kobiece potrzeby, zdają się je pomijać: kwestie bezpieczeństwa, równych szans, indywidualności. W przestrzeni miast bardzo boleśnie i namacalnie da się odczuć nieobecność kobiet. Jest ona jak dziura w strukturze. Miasto poprzerywane, nieciągłe. Nieciągłe nieobecnością. Przecież w mieście, gdzieś w zakamarkach, gdzieś w podziemiach, w kątach, w powietrzu, pochowane w domach są kobiety. Są ich codzienności, ich „HERstorie”, jest pamięć o nich i ich pamięć. Jednak brakuje tego w warstwie widocznej i słyszalnej miast. Nie ma ich w nazwach ulic, nie są upamiętnione tablicami i pomnikami (lub w sposób marginalny). Nie tylko brakuje słynnych kobiet, nie ma też całej „kobiecej” sfery, nie ma codzienności, nie ma zwykłych mieszkanek, nie ma przodków.

W trakcie pracy nad potrzebami zorientowałyśmy się, że ważną dla nas, niesklasyfikowaną dotąd, potrzebą jest ta dotycząca pamięci. Pamięci, którą uważamy za nieobecną lub niedostatecznie obecną w przestrzeni miasta. Pamięci naszych matek, babć, kobiet znanych, ważnych, a zapomnianych, ale też tych wszystkich drobnych pamięci życia codziennego, które nie są upamiętnione żadnym pomnikiem, żadną wzmianką, żadnym widocznym śladem. Takich, po których ślady są często tylko prywatne, intymne, w niektórych przypadkach zatarte, w innych mające jedynie wydźwięk bardzo lokalny lub bardzo osobisty. Odzyskiwanie historii kobiet i kobiecych śladów w mieście nazwałyśmy wychodzeniem z cienia. To wychodzenie z cienia powinno następować zarówno w wymiarze lokalnym i osobistym, jak i w strukturze miasta – nazw, pomników, oficjalnych pamiątek, ważnych opowieści.

Pamięć i działanie stały się hasłem otwarcia prowadzącym do dalszej pracy nad naszą wizją miasta. Przestrzeń jest dla nas. Chcemy mieć na nią wpływ. Zależy nam na zwiększeniu świadomości ludzi, dotarciu do nich poprzez działania lokalne – zachęcanie do wzięcia za przestrzeń odpowiedzialności. Zależy nam też na użyteczności tej przestrzeni i jej dostępności na różnych poziomach – architektonicznym, mentalnym, ekonomicznym, społecznym i emocjonalnym. >>







## **powrót rzeczy dawnych**

W myśleniu o mieście w ramach przyjętych paradygmatów, przestrzeń do kogoś należy, ktoś nią zarządza, przestrzenie z góry przypisane są określonym funkcjom, zamknięte w stałych ramach. W projekcie „Miasto oczami kobiet” starałyśmy się przede wszystkim wyjść poza te ramy i przyjęte paradygmaty. Pojawiły nam się kwestie dostępu do miasta, dostępu do miejsc publicznych, dostępu do dobra wspólnego, np. do brzegu rzeki. Dostęp ten rozpatrujemy w kategoriach praw człowieka. Kwestie własności tych miejsc wydają się tu drugorzędne, są kategorią prawną i administracyjną, nie społeczną. W mieście tak określonym pewne przestrzenie się rozwijają, a inne pozostają wykluczone, wyrzucone poza nawias, nieużywane. Nie są brane pod uwagę w projektowym myśleniu o tworzeniu miasta, bo nie mieszczą się w planach, przy odgórnym planowaniu zdają się niepotrzebne – nie ma na nie pomysłu. Jednak mogą one zostać zauważone i przypomniane przez działania oddolne. Miejsca dawniej stanowiące część miasta, miejsca odrzucone, które pamiętamy, miejsca, które kiedyś były nam bliskie, a dziś przypominamy sobie o nich, takie jak dachy budynków, pustostany, tereny pod mostami, tereny za płotami, „krzaczory”, klepiska, brzeg Wisły, bazy, dawne obiekty użytkowe i kulturalne.

Mamy poczucie, że nasze miasto oddalone jest od rzeki. Wisła jest granicą, która dzieli – przestrzeń i ludzi. Chcemy plaż, wydzielonych akwenów na Wiśle, przestrzeni dla kultury i rozrywki. Jesteśmy przeciwnie ograniczaniu dostępu do wody, inwestycjom, które grodzą i dzielą. Dostęp do wody jest i powinien być dobrem publicznym. Ale też myśląc o odzyskiwaniu miasta, przychodzą nam do głowy rzeczy dawne – te które pamiętamy z dzieciństwa, które w przestrzeni miasta przepadły, przestały istnieć lub zestarzały się. Niektóre z nich warto byłoby odzyskać, jak np. słonia na Bielanych – zabawkę, obiekt z blachy, na którym siadały dzieci do późnych lat 80. XX w. (częściowo zniszczonego słonia wywieziono i przetopiono, został on uwieczniony na wielu zdjęciach, w gazetach, a nawet w książce Edmunda Niziurskiego, był symbolem dzielnicy i jednym z tych obiektów, które skupiają społeczność, dziś mieszkańcy Bielanych rozpoczęli działania, by przywrócić słonia), magle i pralnie – miejsca usługowe pozwalających na kontakt z ludźmi, wskrzesić opowieści miejskie, gwary, opowieści, kulturę, promować i wspierać kąpieliska nad Wisłą, bary mleczne. Dać szansę tym obiektom i miejscom, które doskonale sprawdzały się jako ogniska działań i spotkań społecznych.

## **Warszawa jako patchwork**

W działaniach grupy kobiet, najważniejsza okazała się potrzeba stworzenia nowego języka komunikacji, nazywania miasta, wyjścia z obowiązujących torów myślenia. Staramy się nie tkwić w przyjętych ramach pojmowania miasta. Wychodzenie z cienia, w którym zawiera się działanie i pamięć, rozpoczęło naszą przygodę z patrzeniem > >







na miasto innymi niż dotychczas, ale własnymi oczyma. Pomogli nam w tym zaproszeni ekspertki i eksperci, dzięki którym zmienialiśmy nasze postrzeganie miasta: Sylwia Chutnik, Ewa Furgał, Marek Ostrowski, Tomasz Duda, Aleksandra Wasilkowska, Dominika Jędrzejczak, Katarzyna Haber. Ewa Furgał w swojej pracy w Fundacji Przestrzeń Kobiet stara się zwracać uwagę na różnorodność doświadczeń kobiet. Przecinają się one z innymi doświadczeniami: etniczności, statusu społecznego i materialnego, wyznania, wykształcenia, orientacji seksualnej, sprawności i wieloma innymi. Te wszystkie warstwy nakładające się na siebie pozostają wciąż nieodkryte wraz z nieodkrytą w historii miasta kobiecością. Zdałyśmy sobie sprawę z tego, że przekraczamy stereotypy, inspirujemy się nawzajem, jesteśmy otwarte na dialog. Aby odzyskać pamięć i ślady w przestrzeni miasta, potrzebne jest nasze zaangażowanie. Pod okiem psychologa środowiskowego Tomasza Dudy pracowałyśmy na własnych emocjach związanych z miastem, tworząc mapy ewaluatywne.

Badanie pozwoliło nam wskazać elementy kształtujące pozytywny bądź negatywny odbiór danego obszaru. Ujawniły się nasze sprzeczne strategie dotyczące sposobu korzystania z danej przestrzeni. W tej samej sytuacji możemy czuć się skrajnie różnie, np. w bujnej zieleni można doświadczać zarówno uczucia swobody i wolności, jak i uczucia przytłoczenia i zagrożenia. Zarysowały się również różnice wynikające z odmiennych doświadczeń, wychowania i kultury. Jak powiedziała jedna z uczestniczek, Warszawę można postrzegać jako Patchwork (chaos) lub Eye-spy (zabawę „wyteż wzrok”). Stolica jest miastem miejscowych i przyjezdnych, miastem wielu kultur i różnic w percepcji przestrzeni, być może jest to przyczyną tylu sprzeczności.

## **matkowanie**

Pojawienie się różnic spowodowało, że postawiłyśmy sobie pytanie, w jaki sposób osiągnąć konsens w projektowaniu przestrzeni miejskiej, tak aby ten proces uwzględniał potrzeby wszystkich jej użytkowników. Zresztą w rozmyślaniu i dyskusji nad jakością miejskiej przestrzeni i jej dostępności dla użytkowników szybko stało się jasne, że mówimy o spojrzeniu na miasto nie tylko z perspektywy męskiej czy kobiecej (nawet taki podział nie jest jednoznaczny, kiedy pomyśleć o mnogości ról, w których występujemy na co dzień).

W poszukiwaniu rozwiązań dla naszych miejskich bolączek potrzeba nam świadomości istnienia różnych perspektyw, akceptacji faktu, że funkcjonujemy w wielowarstwowej i zmiennej strukturze; potrzeba nam formuły, by się wzajemnie usłyszeć i znajdować rozwiązania służące nam wszystkim.

Spojrzenie Warsa i Sawy to propozycja jednego z naszych ekspertów, dr. Marka Ostrowskiego, kierującego Pracownią Informacji Obrazowej na Uniwersytecie Warszawskim i założyciela Akademii Wiedzy o Mieście przy UW. > >

### Miejski udział w tworzeniu Miasta Aptek

W ramach projektu "Miasto Apte" w 2010 roku w Warszawie przeprowadzono badania, które miały na celu zbadanie potrzeb i oczekiwań mieszkańców miasta w zakresie opieki zdrowotnej. Wyniki badań zostały wykorzystane do stworzenia planu rozwoju systemu opieki zdrowotnej w Warszawie.

W ramach projektu "Miasto Apte" w 2010 roku w Warszawie przeprowadzono badania, które miały na celu zbadanie potrzeb i oczekiwań mieszkańców miasta w zakresie opieki zdrowotnej. Wyniki badań zostały wykorzystane do stworzenia planu rozwoju systemu opieki zdrowotnej w Warszawie.

### Klamka Leonardo

Wojciech Klamka, Warszawa, 2010  
Rok założenia: 2010  
www.klamka.com.pl  
Inspiracja: Poczta i kultura, 2010, str. 10-11

Wojciech Klamka, Warszawa, 2010  
Rok założenia: 2010  
www.klamka.com.pl  
Inspiracja: Poczta i kultura, 2010, str. 10-11

Klamka Klamka to projekt, który ma na celu zbadanie potrzeb i oczekiwań mieszkańców miasta w zakresie opieki zdrowotnej. Wyniki badań zostały wykorzystane do stworzenia planu rozwoju systemu opieki zdrowotnej w Warszawie.

www.klamka.com.pl





W swoim „Tryptyku Warszawskim” Marek Ostrowski pisze o poznawaniu przestrzeni miasta poprzez różne spojrzenia i różne perspektywy. Spojrzenie Warsa jest dynamiczne, Sawy refleksyjne. Nakładają się na nie dwie uzupełniające się koncepcje poznawcze – dedukcji i indukcji, od ogółu do szczegółu i od szczegółu do ogółu. Spojrzenie Sawy to próba stworzenia wieloprzestrzennej struktury miasta na podstawie szczegółów, określenie zasad i prawidłowości rządzących miastem na podstawie detali dostrzeganych w codziennych obserwacjach.

Miasto oczami kobiet to tak naprawdę miasto widziane poprzez wiele odmiennych spojrzeń, spośród których każde jest ważne. Tworzą one perspektywę, poprzez którą próbujemy naszą przestrzeń nazwać, opisać, zmieniać.

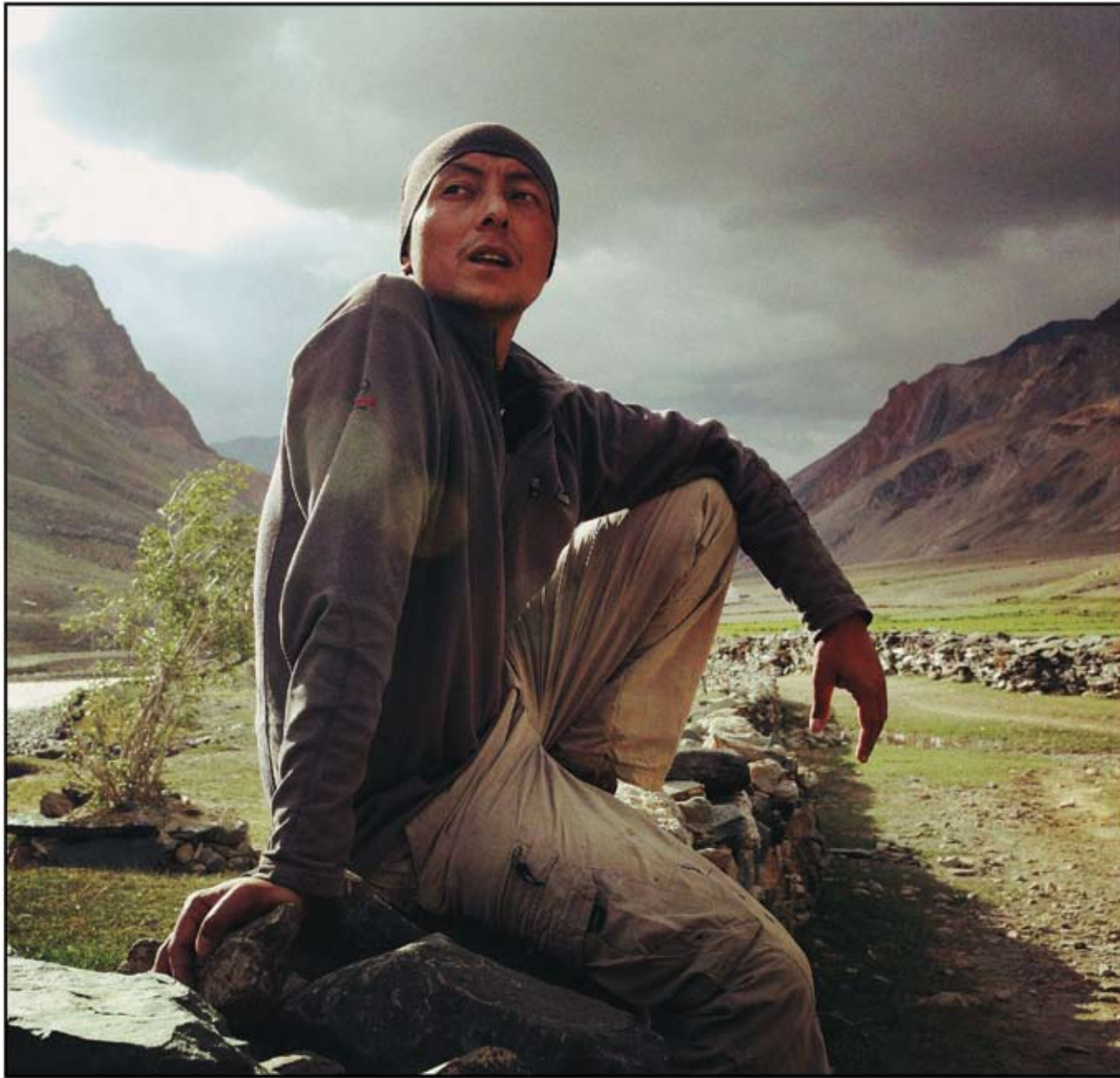
### **zauważyć, usłyszeć, zrozumieć**

Rozważania na temat różnych potrzeb użytkowników miejskiej przestrzeni i rozmaitych metod ich zaspokajania nieuchronnie prowadzą do pytania o jakość dialogu społecznego.

Spojrzenie z perspektywy języka potrzeb sprowadza nas do refleksji, że w procesie kształtowania przestrzeni i prawie do zaspokajania swoich potrzeb, my, użytkowniczki i użytkownicy przestrzeni, jesteśmy sobie równi. Występując w różnych rolach, stanowimy wspólnotę ludzi, których życie codzienne, plany, aspiracje, marzenia i cele krzyżują się we wspólnej przestrzeni. Potrzebujemy wypracowania na nowo metod porozumiewania się i pokojowego uzgadniania poglądów, tak aby potrzeby nas wszystkich mogły być usłyszane i uwzględnione przy realizacji kolejnych zamierzeń i inwestycji miejskich.

Odpowiedzialność za powodzenie tego procesu spoczywa w równym stopniu na władzach miejskich i instytucjach działających w mieście, organizacjach pozarządowych i branżowych, stowarzyszeniach i pojedynczych reprezentantach wspólnoty miejskiej. Osobiste doświadczenie i wiedza, którą mogą wnieść wszyscy uczestnicy procesu, jest elementem niezbędnym dla dobrego i zdrowego funkcjonowania miasta ●

publikację „Miasto oczami kobiet” Justyny Biernackiej i Patrycji Dołowy, wyd. Fundacji MaMa, 2012 można dostać w Warszawie w lokalu MaMa Cafe, ul. Wilcza 27b lub zamówić pisząc na adres: [kasiao@fundacjamama.pl](mailto:kasiao@fundacjamama.pl).



Anil- when man and mountains meet incredible things happen.





## TR: jaki był kontekst Twojego projektu, co chciałaś osiągnąć?

**MK** To jest subiektywny pamiętnik z wyprawy w Himalaje z Anilem, którego poznałam rok wcześniej, w trakcie swojego pierwszego wyjazdu w Himalaje, potem przez rok praktycznie codziennie rozmawialiśmy przez facebookowy chat. Namówiłam go, aby spróbował zrobić ze mną projekt wideo. Zgodził się, mimo że sztuka jest mu co najmniej obojętna. Ustaliliśmy, że ja zdobędę potrzebny sprzęt elektroniczny i będziemy kręcić do siebie nawzajem „wideolisty”. Aplikowałam o kilka grantów na ten projekt i niestety nikt nie chciał podjąć ryzyka i dać pieniędzy na projekt, w którym sprzęt elektroniczny jest bez nadzoru gdzieś w Indiach i może zniknąć w każdym momencie. Ale się uparłam, dostałam z różnych źródeł używany sprzęt elektroniczny i zawiozłam go do Indii. W działaniu artystycznym interesuje mnie aspekt dochodzenia do wiedzy, poznawania. Zdjęcia i podpisy do pamiętnika powstały, kiedy pojechałam zawieźć Anilowi kamery i podróżowaliśmy razem, żeby się lepiej poznać. Uczyłam go też obsługi sprzętu, który dostał.

Myślę, że w tym cyklu równie ważny jest aspekt niemożności poznania kogoś, to, że to są moje refleksje, pewna fikcyjna narracja a o nim. Bo innej nie jestem w stanie stworzyć.

W projekcie wideolistów interesuje mnie w równym stopniu – co Anil nakręci, jak i czego nie nakręci oraz cały proces ścierania się o formę i kształt projektu. On mi ciągle zarzuca, że ja jestem „too much in hurry” i bardzo walczy o swoją mocną pozycję, dyktuje zasady. Te napięcia są bardzo interesujące, bo pochodzimy z dwóch zupełnie odmiennych kultur, dynamikę między nami określa spuścizna postkolonialna, różnie definiowane przynależności, wstyd przed otoczeniem, presja oraz napięcie spowodowane przez różnie kształtowane stosunki między płciami.

## jak się miała realizacja projektu do pierwotnej wizji?

Tak jak mówiłam, dla mnie realizacja jest procesem i ten projekt jest fragmentem tego procesu, ja na początku w ogóle nie zakładałam, że zrobię taki cykl. W projekcie wideolistów jest pełno napięć – nic nie jest proste – jest dużo kłótni i sporów, a tego nie widać w filmach, które powstają; one są bardzo ugrzecznione, bo nie są jego środkiem wyrazu – Anil nie jest ani artystą ani filmowcem, dużo też udaje, W ogóle mam wrażenie, że kultura hinduska to jest w znacznym stopniu kultura udawania – budowania równoległych światów, odgrywania w nich pewnych ról i dopuszczania do tych światów konkretnych tylko grup. Dlatego uznałam, że muszę szukać form, które pozwolą pokazać wiele warstw projektu, te napięcia, które w nim są i myślę, że pamiętnik jest jedną z tych form.

A skąd w projekcie podróż? Dlaczego wpisałam go w kontekst fotografii podróżniczej? Jeżeli coś powstaje w podróży, to jest to fotografia podróżnicza – tak to rozumiem. Pamiętnik powstawał w podróży, Anila wybrałam do projektu, bo go poznałam w podróży – i moim zdaniem jest to projekt o podróży – trochę tak, jak kiedy dwie osoby się spotykają w pociągu i pokazują sobie tylko pewien wybrany aspekt siebie – odgrywają siebie przed nieznanym. >>

**Marta Kotlarska** ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu oraz Central Saint Martins College of Arts and Design w Londynie.

Przez wiele lat pracowała jako fotoreporter, zajmując się tematami dotyczącymi tożsamości narodowej oraz przemian społecznych na terenie Polski, Ukrainy, Rosji oraz tureckiego Kurdystanu. W 2004 roku założyła Akademię Pstryk (Click Academy), grupę artystyczną tworzącą innowacyjne, partycypacyjne projekty fotograficzne.

Od 2005 roku współprowadzi projekt Romski Pstryk, który jest głosem w dyskursie dotyczącym edukacji Romów. Projekt ten był pokazywany międzynarodowo, w kontekście 2 Romskiego Pawilonu na biennale artystycznym w Wenecji oraz w Parlamencie austriackim w Wiedniu.

Marta Kotlarska

## Anil – kiedy człowiek i góry się spotkają...

rozmowa TR



One day we were crossing a river, which seemed frozen. The ice, however, broke under our weight. We had to jump out of the freezing cold water and landed on the skeleton of a horse.



Siłą rzeczy zaczęło mnie interesować zdefiniowanie, co to właściwie jest fotografia podróżnicza – chciałam zobaczyć, dlaczego ludzie fotografują w podróży, jaki jest cel i muszę przyznać, że zaskoczył mnie wątek, który w trakcie pokazu na re:wizjach powracał – że ludzie fotografują, aby zachować wspomnienia – ja fotografuję, by poznać, fotografowałam Anila, by go poznać.

**czy w tym, co robisz, aspekt pamięci jest w ogóle ważny? czy masz jakieś artystyczne, zawodowe itp. strategie związane z pamięcią, ciągłością?**

Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale pamięć w ogóle nie była istotnym elementem planowania tego projektu, nie była czymś, czemu poświęcałam refleksję. Byliśmy w podróży – ja fotografowałam, żeby go poznać – i trochę, żeby mu pokazać, że ma się nie wstydzić robić zdjęcia. Potem dopiero potrzebowałam w jakiś sposób połączyć urywki – i stworzyć pewien konstrukt – kim on jest, dlaczego tak, a nie inaczej postępuje. Dlatego stworzyłam pamiętnik. I teraz widzę, że posługiwałam się wspomnieniami, że pracowałam na wspomnieniach, że to ja pamiętałam i to ja zapominałam... Fajnie jak projekt dostaje kolejne dno i możesz na różne wydarzenia spojrzeć z innej perspektywy, teraz muszę się zastanowić jak wpleść w wideolistę właśnie aspekt pamięci – jak poszukać w tym dodatkowej wartości poznawczej dla projektu.

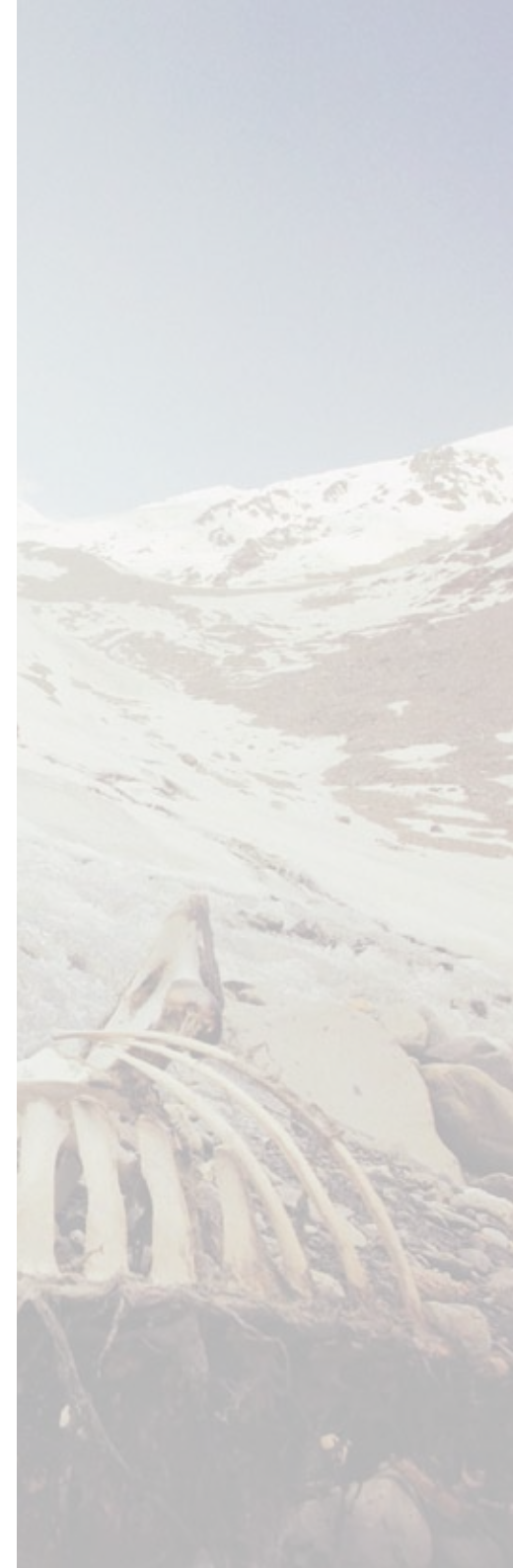
**czy fakt, że to było daleko, w podróży, ma znaczenie? podróż zmienia jakoś sposób Twojego patrzenia, rejestrowania rzeczywistości, czy też ingerowania w nią?**

Zdecydowanie tak. Po pierwsze, zainteresowała mnie pozorna bliskość, a w gruncie rzeczy obcość tamtej kultury – to był taki impuls, żeby zacząć cały projekt.

Po drugie widzę, że dla Anila ogromną trudnością jest to, że ma kręcić rzeczy dla niego oczywiste. Wiele napięć między nami bierze się stąd, że ja oczekuje, żeby on był turystą we własnym otoczeniu – a on się do tego nie pali, zawodowo od 13 lat jest przewodnikiem.

**czy w swoich działaniach i obserwacjach w podróży często natrafiasz na jakieś moralne albo kulturowe problemy? czy są tu jakieś „dobre praktyki”?**

To jest pytanie o to, na ile etyczne jest fotografowanie innych bierne – a na ile proces portretowania tej kultury powinien powstawać w drodze negocjacji. My jedziemy tam z pieniędzmi, żeby się bawić i spędzać czas – dla nich nasze podróże to sposób zdobycia środków do życia. To jest bardzo instrumentalna relacja – klient i dostarczający usługę – w której obie strony odgrywają pewien rytuał. No i wszystkie aspekty związane z samą etyką podróży: podróży do odległych plemion, podróży do gett, do biedy... > >





One day we reached a holy mountain. You know this is the mountain when you see it. It is called Gamluk Rangon. Anil told me that although it is unreachable, many local people saw a monk living there as in the temple.



**skąd pomysł spotkania i otwartego pokazu na festiwalu re:wizje? pytałaś między innymi o granice fotografii podróżniczej. czy czujesz, że trzeba ją jakoś definiować?**

To nie chodzi o definiowanie, zamykanie. Raczej o odpowiedź na pytanie, dlaczego fotografujemy, po co, czego poszukujemy, po co podróżujemy, czym jest podróż. Chciałam zobaczyć, dlaczego inni fotografują w podróży, ważna dla mnie była wielość narracji, zostawiłam pomysł zupełnie otwarty i po prostu patrzyłam, co wyjdzie. Interesowało mnie, co ludzie zdecydują się pokazać, a czego nie. Dokonałam takiego wyboru dlatego, że dość szybko zauważyłam, że fotografia podróżnicza to jest taka gorsza fotografia – na pewno nie profesjonalna, nie mająca prawa zaistnieć na salonach artystycznych – a przecież to najczęstsze użycie fotografii. Ciekawił mnie też sam proces wciągnięcia publiczności w tworzenie pokazu – danie jej przestrzeni do wypowiedzi, włączenia jej w dyskusję, zatem taki projekt, w którym to publiczność prezentuje, był logicznym rozwiązaniem.

**jakie masz refleksje po tym spotkaniu?**

Jak zauważyła jedna z uczestniczek, nie było żadnego pokazu zdjęć typu „ja na tle zabytków”, nie było też takiego klasycznego projektu o fotografii sportów ekstremalnych (wymachiwanie czekanami, wiszenie na linach itd.) pokazy były bardzo grzeczne. Mało też było refleksji etycznej – właśnie tematyka krążyła wokół pamięci – nie było nic o tym, dlaczego podejmuje się takie lub inne wybory i jaka jest z tym związana odpowiedzialność.

My teraz wystawę będziemy pokazywać dalej – w lutym w waszej galerii na Bukowińskiej – dziękujemy za odwagę! Mówię o odwadze, bo mam tu też ciekawą refleksję. Rozsyłałyśmy teraz masę propozycji pokazania tej wystawy i, tak jak wspomniałam, okazuje się, że fotografia podróżnicza to nie jest fotografia wyższa, artystyczna i profesjonalna. Jedna galeria prezentująca „prawdziwą” fotografię odesłała nam z oburzeniem naszą propozycję z następującym komentarzem: „Niestety jest tak, jak się spodziewałem po pierwszej zajawce. Jest to po prostu fotograficzna dokumentacja wyjazdu na poziomie typowego turysty. Zdjęcia są bardzo słabe i kompletnie przypadkowe, a całość nie ma niestety żadnej wartości fotograficznej, a to podstawa przy doborze prezentacji w naszych przestrzeniach.”

Oni poszukiwali głównie estetycznej formy, a nasze projekty nie są takimi fikuśnymi fotografiami. To jest z jednej strony cykl zdjęć zrobiony przez dzieci (bo wolontariat też jest formą podróży po Azji), a z drugiej mój cykl – wystylizowany instagramem na pamiątnik turystki... ●





He is away from his family nearly four months a year. He cannot write to them, he cannot call them. In the mountains and major cities in the area there is no mobile phone coverage due to anti-terrorism restrictions.





Anil has been working as a Himalayan guide for 11 years. He started his career as a cook help and subsequently acquired knowledge and understanding of the mountains, which is needed for a professional mountain guide.







## TR: jaki był kontekst Twojego projektu, co chciałaś osiągnąć?

UK: Moja przygoda z Indiami zaczęła się w 2010 roku, gdy przyjechałam do Delhi studiować stosunki międzynarodowe, socjologię oraz analizować wpływy globalizacji na kraje rozwijające się. Odkrywanie Indii rozpoczęłam więc dość nietypowo, bo towarzyszyła mi od samego początku pogłębiona refleksja akademicka wśród studentów z różnych części Indii oraz Azji Południowej i innych części świata. Zamieszkałam w Delhi i z czasem polubiłam to zwariowane i trudne do życia miasto na tyle, że zaczęłam do niego regularnie wracać. I tak z początkowych kilku miesięcy spędzonych w Indiach zrobiły się prawie dwa lata. W tym roku wybrałam się po raz kolejny na północ kraju. Chciałam spędzić trochę czasu w Kaszmirze oraz w Ladakhu, trochę pojeździć, popisać, pofotografować. Wyjazd do Kargilu siedział mi w głowie od dłuższego czasu. Chciałam tam coś zrobić, nie tylko zatrzymać się przejazdem.

Kargil to mały dystrykt w stanie Dżammu i Kaszmir. Jego stolicą jest otoczone pięknymi górami miasteczko o tej samej nazwie, które leży bardzo blisko granicy z Pakistanem, dokładnie pomiędzy trzema ważnymi turystycznymi destynacjami: Kaszmirem, Ladakiem i Zaskarem. Większość mieszkańców Kargilu to muzułmanie szyici, ale inne religie, takie jak buddyzm, hinduizm i sikhizm, też są reprezentowane. Zdecydowana większość ludzi zatrudniona jest w rolnictwie. Pozostali zajmują posady w instytucjach publicznych, albo żyją z drobnych biznesów. Ze względu na swoje położenie Kargil odwiedzają czasami jacyś przyjezdni, a zagraniczni turyści zatrzymują się tam od czasu do czasu w drodze do bardziej uczęszczanych miejsc. Na ogół jednak, w związku z trwającą tam aż cztery miesiące w roku zimą, turystyka w Kargilu nie jest promowana tak, jak w innych regionach stanu Dżammu i Kaszmir. Tym samym miastu zdecydowanie brakuje interakcji i wymiany ze światem zewnętrznym. To spokojne, mało zaludnione miejsce, gdzie można spotkać niezwykle gościnnych ludzi.

Takie właśnie opinie usłyszałam od moich znajomych pochodzących z tamtych regionów. Ja pamiętałam Kargil z mojej pierwszej wizyty dwa lata temu jako bardzo smutne i mało przyjazne miasteczko, w którym chcąc nie chcąc trzeba się zatrzymać w drodze do ciekawszych miejsc. Zaciekawilo mnie jednak, że gdy wpiszę w Google nazwę „Kargil”, to wyskoczą nam przede wszystkim informacje o wojnie, która miała tam miejsce w późnych latach dziewięćdziesiątych. Wtedy właśnie Kargil stał w centrum konfliktu zbrojnego między Indiami a Pakistanem, do którego doszło w tym rejonie między majem a lipcem 1999 roku. Obecnie to raczej spokojne miejsce, potocznie nadal postrzegane jako niebezpieczne oraz podatne na konflikty. Po rozmowach ze znajomymi z tego regionu nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Kargil potrzebuje nowych narracji.

Zanim znalazłam się w Indiach, przez wiele lat studiowałam antropologię kulturową i bardzo przesiąknęłam antropologiczną refleksją nad światem i odmiennymi kulturami. Nie lubię, będąc w nowych społecznościach, być jedynie turystą, który wszystko obserwuje na poziomie przyjemnego (a czasem mniej) konsumowania wrażeń. > >

**Urszula Kahul** jest antropologiem kulturowym i socjologiem, miłośniczką fotografii dokumentalnej. Urodzona w komunistycznej Polsce lat osiemdziesiątych, przez wiele lat zajmowała się organizacją imprez kulturalnych, promocją kina niezależnego oraz wiedzy na temat praw człowieka.

Ostatnie trzy lata zgłębiała wiedzę na temat globalnego rozwoju w Azji, Ameryce Południowej, Afryce oraz na Bliskim Wschodzie. Podróże dokoła świata wzmocniły jej zainteresowanie różnicami kulturowymi i kwestiami globalnej odpowiedzialności.

Od 2010 roku regularnie powraca do Indii, by szukać nowych inspiracji i dzielić się swoimi umiejętnościami z tamtejszymi lokalnymi wspólnotami. Inicjatorka fotograficznych projektów uczestniczących, których celem jest tworzenie lokalnych samo-reprezentacji, wzmacnianie kreatywności oraz stymulowanie dialogu.

Więcej na: [www.ulakahul.com](http://www.ulakahul.com)

Urszula Kahul  
**salaam alaikum  
Kargil!**  
rozmowa TR





Lubię spróbować patrzeć głębiej, lubię poczytać sobie sporo, zanim gdzieś się wybiorę, lubię rozmawiać z miejscowymi ludźmi, próbuję wsłuchać się w ich lokalne opowieści i interpretacje. Tylko wtedy mam poczucie, że poznaję Innego bliżej, że próbuję zrozumieć. To mnie fascynuje – głębsze spotkanie i dialog z drugim człowiekiem.

Projekt SALAAM ALAIKUM, KARGIL! narodził się właśnie z takiego antropologicznego przekonania, że będąc przybylszem w jakiegokolwiek wspólnocie należy zastosować dialogiczne podejście, aby przybliżyć się do zrozumienia danego miejsca, a to wymaga ścisłego zaangażowania i aktywnego uczestnictwa społeczności lokalnej. Wydawało mi się, że aby pokazać Kargil od innej strony, warto zaangażować w to młode pokolenie, że warto spojrzeć oczami dzieci, które nie cenzurują rzeczywistości i których opowieści mogą pokazać mi coś, czego ja sama nigdy tam nie zauważę. Dlatego właśnie w sierpniu tego roku zaprosiłam siedemnastu uczniów z pierwszej klasy szkoły podstawowej Sir Iqbal Public School w Kargilu do wzięcia udziału w warsztatach fotograficznych, które dały im możliwość opowiedzenia historii o swoim życiu i o samym miasteczku. Niektóre z dzieci trzymały aparaty fotograficzne w rękach pierwszy raz w życiu. Pracowały w dwuosobowych zespołach dokumentując najważniejsze miejsca dla społeczności Kargilu, czyli bazar – główną przestrzeń komercyjnego i społecznego życia tej wspólnoty. Oprócz tego pracowały też indywidualnie, dokumentując życie rodzinne. Robienie zdjęć sprawiało wszystkim dzieciom nie lada frajdę, a nauczyciele i lokalna społeczność bardzo entuzjastycznie przyjęli cały projekt. Poprowadziłam go razem ze znajomym z Polski, Grzegorzem Staniszewskim, który w Indiach był po raz pierwszy. Okazał się świetnym nauczycielem dla dzieci, które miały wyjątkowo rzadką okazję interakcji z zagranicznymi mentorami oraz możliwość praktycznej nauki nowych umiejętności.

### **jak się miała realizacja projektu do pierwotnej wizji?**

Powiem szczerze, że nie miałam jakiegóż specjalnie rozbudowanej wizji przed realizacją tego projektu. Wiedziałam jedynie, że chcę poznać lepiej Kargil oraz jego mieszkańców, oraz że będę pracować w szkole, w której znajdują się także klasy przedszkolne, tym samym nie byłam pewna, czy uda mi się zrealizować jakiegokolwiek działania, bo dzieci mogły okazać się po prostu za małe. Dlaczego wybrałam tę akurat szkołę? Wydawała mi się ciekawa z tego względu, że powstała z pasji jednego człowieka, nauczyciela o pochodzeniu tybetańskim z wieloletnim doświadczeniem nauczania w wiejskich szkołach w Kaszmirze, Zanskarze i Kargilu. Poznałam go dzięki bliskiej znajomości z Zanskaru, którą znam ze studiów w Delhi. Tak więc pojawiłam się tam z polecenia, co od razu dawało mi inny start. Od początku traktowano mnie i Grześka, jak specjalnych gości tamtejszej wspólnoty. Ponieważ szkoła i jej założyciel Sir Iqbal znani są w Kargilu, to od razu wszyscy wiedzieli, kim jestem i to dało mi odwagę w realizowaniu zamierzonych działań. Jak wspominałam, społeczność Kargilu jest dość zamknięta i nie ma zbyt wielu kontaktów z obcokrajowcami, którzy pojawiają się tam zwykle przejazdem. Tym samym każdorazowy dłuższy pobyt kogoś obcego wzbudza duże zainteresowanie. Postanowiłam z tego skorzystać i celowo zaproponowałam wyjście z dziećmi > >









uzbrojonymi w aparaty w przestrzeń publiczną, na bazar, by fotografować tych, którzy nie są do tego zbyt przyzwyczajeni, a czasami nawet niezbyt przyjaźnie nastawieni. Chciałam zobaczyć, jaka będzie reakcja lokalnej społeczności. Jak się okazało, wszyscy byli bardzo przyjaźni i otwarci dużo bardziej, niż można się było spodziewać. Dlaczego wybrałam fotografię? Wydała mi się najprostszym medium, które pozwala na wyrażanie siebie poprzez obserwację i rejestrację tego, co się zaobserwowało. Zdawałam sobie naturalnie sprawę, że dzieci nie będą w stanie w ciągu kilku dni opanować tego medium na tyle, by świadomie rejestrować swoje spostrzeżenia. Ale właśnie ta przypadkowość też mnie interesowała i interesuje. Niestety warsztaty były moim zdaniem zbyt krótkie, wystąpiły także małe ograniczenia sprzętowe. Pożyczone od Sputnik Photos aparaty w liczbie 8 sztuk (raz jeszcze bardzo dziękuję!) okazały się niewystarczające, bo dzieci było więcej niż aparatów, nie wszystkie mogły robić zdjęcia w tym samym czasie, co prowadziło czasami do pewnych niepotrzebnych napięć. Poza tym zbyt fascynacja dzieci oraz ich rodziców sprzętem fotograficznym czasami uniemożliwiała im skupienie się na zadanych tematach.

Wcześniej zrealizowałam podobny projekt ze społecznością w slumsie znajdującym się na kampusie uniwersytetu Jawaharlala Nehru w Delhi, co przygotowało mnie na różnego rodzaju przeciwności, które napotkać mogłam także podczas projektu w Kargilu. Moim celem było jednak przede wszystkim otwarcie się na tamtą społeczność oraz na to wszystko, czym będzie chciała się podzielić i co będzie chciała mi pokazać. Nie planowałam wówczas żadnej wystawy w Polsce, bo nie wiedziałam, jaki materiał powstanie. Byłam jednak pewna, że cokolwiek powstanie, będę chciała to pokazać w Kargilu, bo dla tamtej społeczności ważnym będzie zobaczenie efektów pracy dzieci, ważna będzie tego typu auto-refleksja. Wystawa będzie tam pokazywana na bazarze i w szkole wiosną przyszłego roku. Jestem bardzo ciekawa, jakie wzbudzi reakcje wśród lokalnej społeczności, bo z pewnością będzie to pierwsza wystawa, jaka kiedykolwiek została tam organizowana. Ciekawe, czy zmieni ona coś w sposobie patrzenia na samych siebie mieszkańców Kargilu oraz odwiedzających ją przyjezdnych.

Z ogromną radością przyjął zaproszenie Marty do wspólnego pokazania wystawy razem z jej projektem z Zanskaru. Pomysł ten wydał mi się o tyle ciekawy, że spędziłam w Indiach sporo czasu i że nie czuję (lub też nie chcę się tam czuć) jak turystka, a fotografia podróżnicza kojarzy mi się właśnie z fotkami z krótkich podróży. Dlatego właśnie pokazanie mojego projektu w kontekście refleksji i rozszerzania znaczeń fotografii podróżniczej było dla mnie intelektualnym wyzwaniem i okazało się bardzo inspirujące. Zaczęłam sobie zadawać pytanie, gdzie zaczyna się i gdzie kończy podróż? A może po prostu całe życie jest podróżą i tym samym każda fotografia jest fotografią podróżniczą?

**czy w tym, co robisz, w jakikolwiek sposób ważny jest aspekt pamięci, czy masz jakieś artystyczne, zawodowe itp. strategie związane z pamięcią, ciągłością?**

Raczej chodziło mi o próbę refleksji nad teraźniejszością... albo o budowanie nowego wizerunku, by zmienić coś w przyszłości. Kargil to społeczność, która żyje w cieniu przeszłości do pewnego stopnia, albo postrzegana >>







jest przede wszystkim przez pryzmat konfliktu, bliskości z Pakistanem, obrazowanym bardzo negatywnie w mediach zarówno indyjskich, jak i zachodnich. Chodziło mi raczej o poznanie i podjęcie próby poszukiwania/stworzenia nowego wizerunku. Ale przede wszystkim o wzbudzenie kreatywności w młodych mieszkańcach tamtej społeczności, by oni sami mogli patrzeć na siebie ciut inaczej. (Choć to bardzo ambitne cele, jak na tak mały projekt, którego ograniczeń jestem w pełni świadoma).

Element ciągłości mnie interesuje. Chcę podejmować działania, które nie są tylko jednorazową interwencją, ale których skutki są bardziej długofalowe. Wchodząc w jakąś społeczność z pewnością w pewnym stopniu ją zmieniamy. Miał tego pełną świadomość Sir Iqbal w Kargilu i właśnie tego poszukiwał zapraszając nas do swojej szkoły. Jak sam mówił – tylko interakcja z człowiekiem z zewnątrz może zmienić to, co jest w środku, może otworzyć daną społeczność, może poszerzyć horyzonty obu spotykających się osób, grup... Momentami wydawało mi się, że jego podejście jest ciut naiwne, bo co możemy zmienić w tych dzieciach poprzez jednorazowe warsztaty. Potem doszłam jednak do wniosku, że miał on na myśli długofalowy efekt właśnie w sferze pamięci, wspomnień, które niejednokrotnie mają moc sprawczą. Tak mi się przynajmniej wydaje.

**czy fakt, że to było daleko, w podróży, ma znaczenie? czy podróż zmienia jakoś sposób Twojego patrzenia, rejestrowania rzeczywistości, czy też ingerowania w nią?**

Wydaje mi się, że podróż zawsze zmienia kontekst myślenia, postrzegania i rejestrowania rzeczywistości. Bycie Innym/Obcym w innej kulturze pozwala nam na wyjście poza jej ramy, pozwala czasem na zagłębienie w miejsca, które normalnie nie byłyby dla nas dozwolone, gdybyśmy byli członkami danej społeczności, ale bywa też zupełnie odwrotnie. Ten pierwszy wariant widać bardzo dobrze w Indiach, czy w szczególności we wspólnotach muzułmańskich, w których role kobiety i mężczyzny są bardzo konkretnie kulturowo ustalone. Ja jako kobieta biała ze świata Zachodniego (choć zawsze powtarzam, że ja jestem z Europy Wschodniej, urodzona i wychowana w komunizmie, więc to żaden prawdziwy Zachód), dopuszczana jestem często w miejsca, które niedostępne są miejscowym kobietom. Jednakże cierpię też z powodu prostych mechanizmów stereotypizacji, gdy przypisywane mi są pewne atrybuty, które wynikają z błędnego postrzegania świata Zachodu w tamtych wspólnotach (jak na przykład rozwiązłość seksualna). Tak czy inaczej, bycie z zewnątrz zmienia kontekst, ale zależy on też od tego, jak długo w dalekiej kulturze przebywamy. Czy jest to krótki pobyt nastawiony na wymianę na powierzchni oraz na konsumpcję miejsc, doznań i wrażeń, zaspokojenie potrzeby egzotyki, czy też jest to dłuższy pobyt na obczyźnie, w innej kulturze, kiedy możemy wejść głębiej, możemy poznać, albo przynajmniej spróbować rozróżnić, co jest prawdziwe, a co jedynie produktem dla turystów. Mnie interesuje ten drugi aspekt „bycia/życia w podróży”.

> >









**czy w swoich działaniach i obserwacjach w podróży natrafiasz na jakieś moralne albo kulturowe problemy. czy są tu jakieś „dobre praktyki”?**

Denerwuje mnie, że wiele osób przyjeżdża do Indii robić zdjęcia i wyjeżdża ze świetnym materiałem niewiele wiedząc o samym kraju, kulturze i ludziach. Są według mnie takie miejsca na świecie, które po prostu świetnie się fotografują – Indie do nich należą, bo jest kolorowo, bo jest dobre światło, dużo się dzieje, jest egzotyka, a ludzie pozwalają się fotografować zazwyczaj bez problemów. Niekoniecznie w tych zdjęciach chodzi o poznanie, a raczej o ładne obrazki. Niestety wiele z tych fotografujących osób próbuje tworzyć potem jakieś narracje o miejscach i społecznościach i na dodatek rozpowszechnia je wśród szerokiego grona odbiorców. Trzeba więc mieć, moim zdaniem, więcej auto-refleksji, więcej dystansu do swoich działań i budować je w dialogu i w miarę możliwości partnerstwie ze wspólnotami, w których się pracuje. Dlatego interesują mnie projekty partycypacyjne, bo one do pewnego stopnia redukują mój dysonans związany z traktowaniem interesujących mnie grup w sposób czysto przedmiotowy... Ale nie jest to idealne rozwiązanie. Nadal poszukuję sposobów, by funkcjonując w społecznościach post-kolonialnych i pracując z nimi nie powielać jakże często spotykanych do dnia dzisiejszego eurocentrycznych kolonialnych praktyk...



**jakie masz refleksje po spotkaniu na re:wizjach?**

Spotkanie na re:wizjach miało w sobie wiele inspirujących dla mnie wątków. Myślę, że warto robić więcej spotkań, podczas których ludzie mogliby się zastanowić nad tym, dlaczego fotografują w podróży, albo w ogóle. Żyjemy w świecie zalanym obrazami, w którym produkcja przedstawień wizualnych stała się niezwykle prosta i tania. Tym samym każdy może pozwolić sobie na uwiecznianie na zdjęciach chwil. Przestało to być luksusem, albo czymś wyjątkowym. Każdemu wydaje się, że potrafi robić zdjęcia, a co ciekawsze, że musi je robić. Robienie zdjęć nawet marnej jakości telefonem z aparatem to widok, który można znaleźć nawet w najbiedniejszych slumsach w Indiach. Warto by się zatem zastanowić, co jest tak ważnego w samym akcie robienia zdjęć, że czynności tej obsesyjnie poddają się albo zafascynowani nią są wszyscy bez względu na kolor skóry, religię, kulturę, a nawet na zasobność portfela... Czy chodzi tylko o zatrzymanie chwili, o pamięć, o poznanie? A może sam akt fotografowania ma w sobie coś budującego/magicznego? Dzieci z Kargilu nie pytały mnie, czy dam im zdjęcia, które zrobią. To je mało interesowało. Po prostu w pracy z aparatem znajdowały radość odkrywania i dokumentowania otaczającego je świata... ●

DLA  
KOGO  
SZTU-  
KA?



Wernisaż wystawy Marty Kotlarskiej i Urszuli Kahul, wraz z pokazem otwartym, do którego mogły się zgłaszać osoby fotografujące w podróży, odbył się 8 grudnia 2012 w Pracowni Duży Pokój ul. Koszykowa 24/12, w Warszawie.

Dyskusję prowadzili: kurator Klara Kopcińska, socjolog Adam Piechowski i kulturoznawca Natalia Grądzka

Wystawa będzie też prezentowana w Galerii 2b+r w lutym 2013 roku.

Projekt zrealizowano w ramach re:wizji sztuki 6. To multidyscyplinarny przegląd niezależnej sztuki, który w 2012 roku programowo stawiał pytanie „Dla kogo sztuka?”. (W domyśle odpowiedź brzmi: „dla WIDZÓW!”, ale czy tak zawsze jest?). Zgodnie z misją organizatora – Fundacji Impact, re:wizje zawsze realizowane są zgodnie z koncepcją rozwoju publiczności (*audience development*). Są pretekstem do innego spojrzenia na sztukę, na relacje pomiędzy artystami i publicznością. Czy publiczność jest twórcom niezbędna? Jaki udział może mieć w procesie kreacji? Czy sztuka przełamuje bariery pomiędzy artystami i widzami? A może je tworzy? Projekty, które re:wizje sztuki prezentowały w 2012 roku, były niestandardowe – publiczność nie pełniła w nich jedynie biernej funkcji odbiorcy, ale aktywnie włączała się w realizację. Była jury konkursu muzycznego, stała się autorem i krytykiem, inspirowała dialog pomiędzy twórcami ●

wystawa prezentowana była w ramach projektu **Pracownia Koszykowa** realizowanego przez **Stowarzyszenie Pracownia Etnograficzna**, a współfinansowanego przez **Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego** oraz **m.st. Warszawa**.

lokal przy ul. Koszykowej 24 jest wykorzystywany na cele kulturalne dzięki pomocy **Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy**.

**re:wizje sztuki** realizowane są przez **Fundację Impact** dzięki dofinansowaniu **m.st. Warszawy**.











Adam Piechowski (ur. 1950) Warszawiak, żonaty od 37 lat, ojciec trzech dorosłych córek, dziadek jednego (na razie) wnuka. Absolwent Wydziału Chemii na UW, ale doktoryzował się z historii. Obecnie dyrektor Spółdzielczego Instytutu Badawczego w Warszawie, zajmuje się społecznymi i historycznymi zagadnieniami spółdzielczości oraz gospodarką społeczną. Na tematy te opublikował wiele artykułów i książek, prowadził wykłady na różnych uczelniach. W latach 1975-1989 współpracował z opozycją demokratyczną w Polsce, m. in. z KOR-em, Niezależną Oficyną Wydawniczą, w 1982 r. Był aresztowany. Po 1989 r. zajmował się także dziennikarstwem oraz był współzałożycielem pierwszej niezależnej agencji fotograficznej w Polsce „Delta Images” (później „Delta Press”). Jednak jego prawdziwą pasją są podróże i góry. Wspiął się w Tatrach (od 1971 r.), był w Alpach, Himalajach, na Kaukazie, górach Borneo, Algierii, Omanu, Rumunii, Szkocji, Armenii, w Pirinie, w Dolomitach, Chibiniach... W latach 1983-1985 mieszkał pod Tatrami. Podróżował już w czasach gdy w Polsce wydawało się to prawie niemożliwe – do Iranu, Afganistanu i Indii (1973), do Chin, Birmy, Tajlandii i Indii (1977), później także do Nepalu, na Borneo, do Afryki Zachodniej, do Brazylii, na półwysep Kola, do Armenii i Gruzji, do Ladaku, na Sri Lankę... Opublikował wiele artykułów i zdjęć na tematy tatrzańskie i swoich podróży, m. in. w piśmie „Poznaj Świat”. Jest także autorem książek „Grań Tatr” (Warszawa 1992, wydanie węgierskie Budapeszt 2007), „Lud Syriusza. W poszukiwaniu tajemnic Dogonów (Warszawa 1996), „Bedeker tatrzański” (współautor, Warszawa 2000).

Dlaczego fotografuję w podróży? Sam do końca nie wiem. Podróż „fotograficzna” jest zupełnie inna od „zwykłej” i właściwie cała podporządkowana robieniu zdjęć. Zamiast kontemplować przyrodę, podziwiać zabytki, czy po prostu wczuwać się w atmosferę odległych krajów, wyszukuję motywów, miejsc, skąd będą najlepsze ujęcia, czekam, aż poprawi się oświetlenie, przeklinam ludzi, którzy natrętnie wypychają się przed obiektyw, wracam następnego dnia (zamiast zobaczyć coś nowego, może wspanialszego), żeby sfotografować jeszcze raz w lepszych warunkach... Dźwigam nieporęczny sprzęt, modłę się, żeby nie upadł czy nie został skradziony, zapisanych kart pamięci (a kiedyś naświetlonych filmów) pilnuję jak największego skarbu, głównym kryterium przy szukaniu miejsca na nocleg jest pytanie, czy da się tam naładować akumulatory. Po powrocie zapycham dysk komputera tysiącami zdjęć, spędzam długie godziny na selekcionowaniu, poprawianiu, podpisywaniu. Dopiero wtedy czuję, że podróż jest zakończona, zarchiwizowana, po raz któryś z rzędu mogę oglądać fotografie, pokazywać innym, patrząc na nie przypominać sobie przeżycia, szczegóły podróży. Jej pamięć staje się pamięcią fotografii, to czego na nich nie było, znika z zapisu.

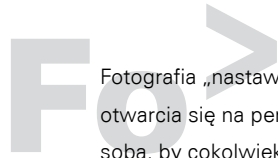
Kiedyś, przed laty w Nepalu, zepsuła mi się zdobyta z wielkim trudem practica, którą zresztą zamierzałem sprzedać po zakończeniu trekkingu, by za to zakupić w Delhi bawełniane ciuchy, które z kolei miałem sprzedać w Polsce, żeby „zarobić” na następną podróż. Tak wszyscy wówczas robili. W każdym razie nie mogłem robić zdjęć, filmy rozdałem towarzyszom wyprawy, prosząc ich, żeby niektóre fotografie robili podwójne, dla mnie. To było coś fantastycznego – wreszcie nie musiałem się męczyć, practica leżała głęboko na dnie jednego z koszy niesionych przez tragarzy, podziwiałem widoki, cieszyłem się górami... Ale po powrocie do Polski, kiedy odebrałem zdjęcia od przyjaciół, czułem, że to nie były moje zdjęcia, wiele wspomnień z wyprawy, które nie wiązały się z faktem wykonywania fotografii wyblakło. Jeszcze gorzej było w czasie innej podróży, kiedy zepsuł się – niezawodny, wydawałoby się – Nikon. Tym razem nie miałem kogo prosić o robienie dla mnie zdjęć. I też dziś nie mam prawie wspomnień z tego wyjazdu.

Więc chyba warto fotografować w podróży. Tym bardziej, że czasem uchwyci się na zdjęciu coś niepowtarzalnego, coś, co już nie istnieje. I wtedy staje się ono bezcennym świadectwem rzeczywistości, której już nie ma. Tak jak ten gigantyczny posąg Buddy w afgańskim Bamian – na dołączonej fotografii z 1973 r. – zniszczony przez artylerię Talibów.

Adam Piechowski







Fotografia „nastawia ostrość” patrzenia, pomaga dostrzec, może pomóc innym zobaczyć. Utrwala chwile większego otwarcia się na percepcję świata, z jakich składa się prawie każda podróż, w której trzeba zostawić siebie poza sobą, by cokolwiek dostrzec, może więc przypominać potem o tym stanie pełniejszego i bardziej bezpośredniego widzenia, doświadczania, bez myślowych filtrów i nakładek. Robienie zdjęć uruchamia czasem instynkt „jednoczenia się” z widzianym, organicznego stawiania się częścią krajobrazu, miejsca, jak w sztuce łucznictwa w wersji zen. Jest w tym także chęć podzielenia momentu z innymi, zaproszenie do udziału w samotności doświadczenia, nawet gdy nie podróżuje się samotnie. Podróż w Białe Góry w New Hampshire była spełnieniem pewnego marzenia, dlatego mojej opowieści o niej, w zdjęciach głównie zza szyby samochodu na autostradzie, towarzyszył kreacyjny mit Indian Abenaki stamtąd, bardzo stara, choć młodsza niż góry, historia o Wielkim Duchu, który śni nasz świat, a gdy się budzi, jest rozczarowany, że powołał do życia coś, co jest tak niedoskonałe. Potem widzi jednak, że wszystko jest w jakimś sensie na swoim miejscu, w swoim czasie. Tego również doświadczam w podróży, by dać temu wyraz – robię zdjęcia.

*Absolwentka polonistyki i podyplomowych studiów politologicznych, specjalność – społeczno-polityczne problemy wielokulturowości. Dziennikarka, redaktorka, tłumaczka, PR-owiec, copywriter, animatorka kultury. Uczestniczka, koordynatorka, autorka i współautorka projektów i warsztatów o charakterze artystycznym, edukacyjnym, wielokulturowym. Interesują ją mity, opowieści i narracje z różnych kultur, religii, zwłaszcza w kontekście edukacji przez sztukę; storytelling i ceramika artystyczna, którą zajmuje się od kilku lat, oraz fotografia. Fotografuje od dzieciństwa, zdjęcia publikowała w czasopiśmie i portalach edukacyjnych. Obecnie w USA.*

Lidia Gruse







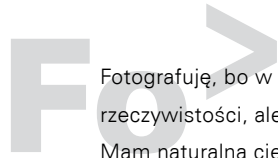
Lubię być w górach sam. W samotności góry robią największe wrażenie. Ale jak już jest tak pięknie, to zaraz robi się smutno, że nie można się tym z nikim podzielić. Dlatego robię zdjęcia. Wynik nigdy nie jest zadowalający. Brak skali, brak przestrzeni. Zostaje kolor, kształt i szczegóły. Zostaje też zapis przeżycia dla samego siebie.

*Specjalista od Podstaw Matematyki. Studiował w Warszawie, a od ponad dwudziestu lat uczy na Uniwersytecie Miejskim w Nowym Jorku. Zdjęcia robił całe życie, a ostatnio kręci też krótkie filmy i udostępnia je w vimeo.*

Roman Kossak







Fotografuję, bo w ten sposób mogę pokazać, jak widzę świat. To nie tylko naciśnięcie migawki, odwzorowanie rzeczywistości, ale forma ekspresji, emocje, zachowanie wspomnień. Dlaczego fotografuję w podróży? To proste. Mam naturalną ciekawość świata, często spontaniczność dziecka i łatwość nawiązywania kontaktów. Podróżowanie to wielokrotnie pokonywanie (czasem) własnego strachu (chociażby przed lataniem), słabości, przeciwności losu, by cel, jaki sobie postawiliśmy, my podróżnicy, osiągnąć. Fotografując nie zapomnimy tego, co przeżyliśmy, czego doświadczyliśmy, czego się dowiedzieliśmy i kogo poznaliśmy. Nie zatrą się nasze wspomnienia, a podróż nie stanie się wyłącznie zamglonym w pamięci wydarzeniem...

*Rodowita warszawianka, absolwentka Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego, agentka ubezpieczeń, doradca nieruchomości, tancerka, instruktorka tańca, animatorka spotkań miłośników dobrego kina, podróżniczka z zamiłowania. Wulkan pomysłów i pozytywnej energii. Od wielu lat pasjonatka fotografii. Jej zdjęcia można oglądać na fotomastikon.pl oraz na ścianach Galerii Braci Jabłkowskich. Laureatka wyróżnień w konkursach fotograficznych. Dwukrotnie jej zdjęcia zostały uznane za najlepsze wśród prezentowanych w Galerii Braci Jabłkowskich. Jej fotografia pojawiła się też na wystawie w ZPAF „Street Photo – Co warszawiacy noszą”.*

Karina Krystosiak





# Ni>

Nie wiem, co lubię bardziej – podróżować, czy robić zdjęcia? Często jedno wynika z drugiego. Odczuwam ogromną przyjemność wracając dzięki zdjęciom do chwil spędzonych w podróży. Równie przyjemne jest dla mnie pokazywanie zdjęć bliskim i opowiadanie o tym, co mnie spotkało „w drodze”.

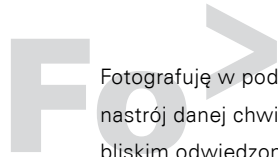
*Z wykształcenia bardziej humanista niż artysta. Jak sam mówi – ma nieciekawą pracę, ale stara się robić w życiu ciekawe rzeczy. Podróżuje, gdy tylko ma ku temu okazję. Przy okazji wyjazdów zarówno tych dalekich, jak i bliskich stara się robić zdjęcia. Czasami to zdjęcia są pretekstem do tego, aby podróżować.*

Jakub Piasecki









Fotografuję w podróży, by możliwie najwięcej zachować w pamięci. Twarze napotkanych ludzi, uliczny zgiełk, nastrój danej chwili, zabawne drobiazgi. Ta „pamięć zachowana” służy nie tylko mnie. Za sprawą zdjęć pokazuję bliskim odwiedzone zakątki swoimi oczami. Dzielę się tym, co mnie zachwyciło, zaintrygowało czy przygnębiło.

A gdy ponownie wracam w te same miejsca, mogę porównywać, czy wciąż widzę je tak samo, czy jednak inaczej. W fotografii podróżniczej równie ważna co zdjęcie, jest dla mnie osoba ukryta za kadrem i jej historia. Oraz opowieść, która jest z daną sceną związana.

*Absolwentka psychologii stosunków międzykulturowych. Zawodowo poświęciła się książkom: pracuje w wydawnictwie. Studia nauczyły ją otwartości na różne kultury, a podróże uważa za najlepszą okazję, by poznawać i próbować zrozumieć inne światy. Fotografiją zajmuje się hobbystycznie.*

Joanna Kończak







Fotografuję w podróży, bo nie chcę, aby to, co widziałam podróżując, gdzieś umknęło.

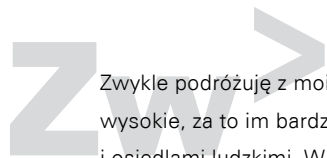
*Magister ekonomii. Lubi podróże – długie, dalekie, a także te krótkie, tuż za granice miasta. Ulubione rodzaje podróżowania to „rowerowanie” oraz wędrowanie po górach. Oprócz eksplorowania Polski, wędrowała lub jeździła rowerem po Turcji, Bułgarii, Ukrainie, Norwegii, Niemczech, Czechach, Słowacji, Hiszpanii, Francji, Czarnogórze, Portugalii. Podczas jednej z dalszych podróży poznała swojego męża – Musę, Kurda urodzonego na stokach wielkiej góry Ararat. Joanna i Musa są rodzicami dwuletniej Dili.*

Joanna Saltik









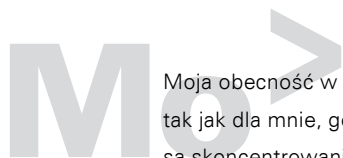
Zwykle podróżuję z moim mężem Marcinem, a najczęstszym celem naszych wyjazdów są góry. Nie muszą być wysokie, za to im bardziej bezludne, tym lepiej. Nie szukamy towarzystwa, nie przepadamy za zwiedzaniem i osiedlami ludzkimi. W górach czujemy się wolni. Tam nie ma maili i telefonów, nie ma interesów ani spraw do załatwienia. Robimy zdjęcia, żeby zatrzymać takie chwile. Aby potem, w domu, móc przywołać ten stan umysłu, który w górach osiąga się tak łatwo. Aby spróbować pokazać to innym. Najzabawniejsze jest to, że w górach znajdujemy tylko to, co sami ze sobą przyniesiemy. Tyle, że te rzeczy wychodzą na wierzch i stają się lepiej widoczne. Fotografia nie jest dla mnie jedynym sposobem rejestrowania ulotnych chwil. Zawsze prowadzę zapiski, w formie dzienników, notatek, wierszy, wywiadów i rysunków. Do ich współtworzenia zapraszam towarzyszy podróży. To pozostało z czasów, gdy robiłam zdjęcia analogowe, których liczba była mocno ograniczona, a co za tym idzie – nie wszystko dało się na nich uwiecznić. Zaczęłam się zastanawiać, jak by to było – pojechać w góry bez aparatu i notesu. Jakie byłyby wspomnienia – może bardziej wybiórcze? A może w pamięci osadziłoby się tylko kilka zupełnie wyjątkowych chwil?

*Z wykształcenia kartograf, zawodowo zajmuje się grafiką. W góry jeździ od czasów liceum. Za najpiękniejsze uważa tundrowe góry Północy. Norwegia, Ural, Półwysep Kolski, Islandia i Grenlandia to miejsca, które do tej pory miała możliwość odwiedzić. Prowadzi aktywne życie, lubi sport, zwłaszcza rower górski i bieganie. Czasem startuje w długodystansowych zawodach na orientację.*

Urszula Wojciechowska





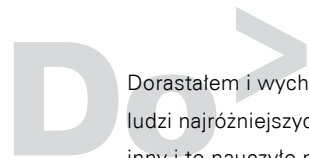


Moja obecność w górach wiąże się głównie z lasem, a las to moje miejsce pracy. Fotografuję ludzi, dla których, tak jak dla mnie, góry i las są miejscem codziennej pracy. Nigdy nie protestują, gdy zaczynam robić im zdjęcia, są skoncentrowani na swoich zajęciach. Czasami rozprostują plecy, zgaszą pilarkę, silnik LKT i głęboko zaciągając się papierosem zaczynają opowiadać mi o swoim życiu. Właśnie dla nich warto jeździć w góry. Chciałem pokazać, że góry to nie tylko piękne widoki, ale też ciekawi ludzie.

*Z wykształcenia leśnik, z zamiłowania ornitolog, wspinacz, polarnik, biegacz. Kilka miesięcy spędził na stacji Arctowskiego na Antarktydzie oraz podczas geologicznej wyprawy na Spitsbergen. Pracuje w Instytucie Badawczym Leśnictwa, a jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół zagadnień związanych z dziedziczeniem cech drewna. W czasie wolnym lubi się zmęczyć – biega, jeździ na rowerze, czasem startuje w długodystansowych biegach górskich albo rajdach przygodowych.*







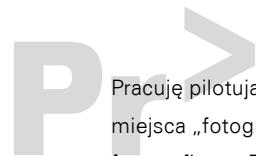
Dorastałem i wychowywałem się w Kazimierzu Dolnym, w domu, który dzięki rodzicom (historykom sztuki) gościł ludzi najróżniejszych, głównie związanych ze sztuką: malarzy i krytyków, amatorów i profesorów. Każdy z nich był inny i to nauczyło mnie osobnego widzenia i traktowania każdego, szukania jego odrębności, unikania schematów i uproszczeń. Ukształtowało postawę otwartości wobec innych i potrzebę współdziałania poprzez wzajemne zrozumienie. Poznałem wartość postawy twórczej i potrzebę realizowania się w niej. Kazimierz nauczył mnie też spojrzenia na rzeczywistość poprzez zachodzące w niej zmiany, spojrzenia nie klasyfikującego, zamykającego w sztywne ramy, ale otwartego i poszukującego. To sprawiło, że zająłem się fotografią, poprzez którą próbuję ten nieustanny proces zmian zachować w cyklach swoich zdjęć. Potrzeba oglądu świata nie przez schemat i przyjęte powszechnie wzory sprawiła, że zająłem się turystyką szczególnego rodzaju, turystyką, która odkrywa zapomniane tereny, pozornie nieciekawe obiekty, zaskakujące często sytuacje i zdarzenia.

*Absolwent Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, kierunek Animator i Menedżer Kultury, specjalizacja Fotografia i Film.*

Sergiusz Odorowski







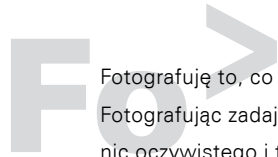
Pracuję pilotując wycieczki, zazwyczaj skupiam się na tym, co trzeba załatwić, powiedzieć itp. Piękne dla mnie miejsca „fotografuję” oczami. Jednak zawsze, oprócz dokumentów związanych z pracą, mam przy sobie aparat fotograficzny. Zdarzyło mi się wielokrotnie wyjąć go zaledwie raz, albo nawet wcale. Ale czasem, kiedy grupa jest „mniej wymagająca” udaje mi się uwiecznić ciekawą chwilę. Dla kogo? Chyba najbardziej dla siebie samej. Choć od niedawna zaczęłam pokazywać zdjęcia znajomym, zamieszczać w internecie i okazało się, że moja praca jest dla niektórych ludzi egzotyczna. To poprawia mi samopoczucie.

*Absolwentka Państwowego Studium Stenotypii i Języków Obcych oraz Wydziału Etnologii i Antropologii Kultury Uniwersytetu Warszawskiego. Pilot wycieczek polskich turystów głównie do Azji, a zagranicznych po Europie Wschodniej. W ostatnich trzech latach zajmuje się także oprowadzaniem turystów zza Zachodniej granicy po Warszawie. Jej pasję to kontakty z ludźmi, organizowanie i ciągłe uczenie się, oraz zapewnienie sobie w życiu konkretnej dawki adrenaliny.*

Marta Sobolewska







Fotografuję to, co obok, to, co pomiędzy, opisuję obrazem, bo słowami – zbyt trudno. Obrazy to mój aparat mowy. Fotografując zadaję pytania, a każda odpowiedź obradza kolejnym pytaniem. Dla mnie fotografia nie ma w sobie nic oczywistego i to mnie właśnie w niej kręci. Dotychczasowe podróże owocowały fotografiami ogromu tego niezwykłego piękna, jakie nas otacza, przestrzeni niemającej końca. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości więcej miejsca poświęcę człowiekowi.

*Plastyk, bliźniak, idealista, marzyciel, animator, może nawet artysta. Absolwent łódzkiego liceum plastycznego, które dało mu pomysł na życie. Ukończył studia licencjackie na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Zawodowo zajmuje się projektowaniem graficznym w innej trochę firmie, a czasami pracuje jako freelancer – grafik i fotograf. Współtwórca Stowarzyszenia Fabrykancka, wraz z którym powołał i prowadzi FabrySTREFĘ, niezależne miejsce dla inicjatyw artystycznych w Łodzi. Brał udział wielu wystawach i projektach, jako organizator.*

[www.paweljustyna.com](http://www.paweljustyna.com) ●

